

Rok XXX

Nr e-117 (313)

Lipiec 2016

NA SZLAKU

Turystyka – Krajoznawstwo – Góry

Magazyn turystyczno-krajoznawczy



Z NASZEGO REGIONU

Mój Świeradów – wspomnienie (1)	<i>Tomasz Kowalik</i>	3
---------------------------------------	-----------------------------	---

OJCZYSTE SZLAKI

Rowerem po Toruniu 2016	<i>Juliusz Wyślouch</i>	6
Co to jest mofeta? Mały wulkan czy może gejzer?	<i>Tomasz Kowalik</i>	9
Pamięć i obecność	<i>Zbigniew Curyl</i>	10
Przejście Głównego Szlaku Świętokrzyskiego	<i>Redakcja</i>	12

TRASA MIESIĄCA

Na Zboczach Płutowskich	<i>Juliusz Wyślouch</i>	13
-------------------------------	-------------------------------	----

GLOBTROTER

Spacerkiem po kanadyjskim London	<i>Mirosław J. Barański</i>	16
Kuks	<i>oprac. Janusz Szulc</i>	19
Sobór Michajłowski	<i>Janusz Fuksa</i>	21

Z TURYSTYCZNYCH KRĘGÓW

Miłośnicy zabytków w Muchowie	<i>Krzysztof Tęcza</i>	22
Noc Muzeów w Jagniątkowie i na Chojniku	<i>Krzysztof Tęcza</i>	25
Kresy Wschodnie na Kresach Zachodnich	<i>Zbigniew Piepiora</i>	27
Wojewódzki XLIV Ogólnopolski Konkurs Turystyczno- -Krajoznawczy w Świeradowie Zdroju 14-15.05.2016	<i>Zbigniew Curyl</i>	28
Jubileusz V-lecia GGT „Kornuty”	<i>Maria Chróścicka</i>	30

PORADNIK TURYSTY

Wielka majówka z pamperssem	<i>Juliusz Wyślouch</i>	32
-----------------------------------	-------------------------------	----

SYLWETKI NA SZLAKU

Mieczysław Zaręba – Mike (15 V 1920 – 31 VII 2012)	<i>Andrzej Rumiński</i>	34
--	-------------------------------	----

U KRESU WĘDRÓWKI

Andrzej Stróżecki	<i>Juliusz Wyślouch</i>	38
-------------------------	-------------------------------	----

LISTY, OPINIE, DYSKUSJE

Kraczonik – zaginiony szczyt do Korony Gór Polski?	<i>Sebastian Jakobschy</i>	39
Wolontariat i praktyki na terenie Republiki Ściborskiej	<i>Justyna i Dariusz Morsztyn</i> ..	40

RECENZJE, NOWOŚCI

Tego jeszcze nie było!	<i>Janusz Zaremba</i>	42
------------------------------	-----------------------------	----

**Na okładce: Na szlaku przez Romankę do Słowianki w Beskidzie Żywieckim.
Fot. Juliusz Wyślouch**

Ku pamięci Krzysztofa Radosława Mazurskiego – Druha Krajoznawcy Sudeckiego i „Po Piórze Autorskim” na łamach „Na Szlaku”

Mój Świeradów Zdrój – wspomnienie (1)

Na stacji kolejowej Świeradów Zdrój pierwszy raz wysiadłem z powolnego pociągu z Jeleniej Góry z moją Babcią – Bronisławą Kubicką. To było w czerwcu lub lipcu, czyli na początku moich pierwszych szkolnych wakacji w 1946 r. W Warszawie, dokładniej na przedmieściu Okęcie w pobliżu znanego lotniska pasażerskiego, ukończyłem pierwszą klasę szkoły podstawowej w roku szkolnym 1946/1947. Na pewno w klasie nie było ławek, zamiast zeszytów mieliśmy noszone na sznurku na szyi lupkowe tabliczki w drewnianych ramkach. Po jednej stronie w linię, po drugiej w kratkę, a w kieszeni zajęczą lub króliczą nóżkę z futrem do wycierania zapisanych rysikiem liter i cyfr, wyrazów i liczb.

Niestety, nie pamiętam, jakie miałem oceny, ani nie zachowało się świadectwo szkolne. Mieszkałem wtedy przy ul. Idzikowskiego, potem Rękodzielniczej, czyli do szkoły trzeba było dojechać trzy lub cztery przystanki tramwajowe linii „7” – pierwszej uruchomionej po wojnie długiej trasy z pl. Narutowicza na przedmieściu Okęcie, które jeszcze nie było formalnie w granicach Warszawy.

Na trasie jednotorowej tramwaje miały dwie mijanki, czasem trzeba było odczekać na ten z drugiego kierunku. Pierwsza mijanka była niemal naprzeciw budynku szkoły przy ul. Krakowskiej. Było wielu takich jak ja, którzy wyskakiwali ze stopnia tramwaju wprost przed furtką w szkolnym ogrodzeniu, czasami nieco dalej, gdy się szło do kina „Lotnik”. Po wielu latach budynek został obniżony o dwa piętra ze względu na położenie pod trasą nalotów do lądowania. Być może jedną z przyczyn była tragedia samolotu, który rozbił się 13 marca 1980 r. niedaleko szkoły na starym forcie systemu obronnego miasta z XIX w. Zginęło 87 osób, a m.in. piosenkarka Anna Jantar i reprezentacyjna drużyna bokserska ze Stanów Zjednoczonych.

Moja Mama – Irena Kowalik z domu Kubicka (1912-1988) – od ostatnich dni sierpnia 1939 r. do końca życia była osamotniona. Ojciec – Bonawentura Kowalik (1910-????), absolwent Korpusu Kadetów w Modlinie, potem topograf i kartograf w Wojskowym Instytucie Geograficznym, porucznik Wojska Polskiego – musiał po mobilizacji wojennej zakończyć polowe prace pomiarowe w okolicach Tarnopola (dziś Ukraina). Pożegnali się z Mamą w ostatnich dniach tamtego sierpnia we Lwowie. Poddął się rozkazowi o ucieczce do Rumunii i tym sposobem nie pokonał wirów historii, być może je wspomagał, a przede wszystkim był jednym z wielu milionów uczestników, przygiętych do ziemi przez zawieruchę wojenną.

Mama wtedy była w szóstym miesiącu ciąży (to byłem ja) z pieniędzmi z kilkumiesięcznej wojennej odprawy Ojca. Po 17 września nie mogła, zwłaszcza jako żona oficera, tak po prostu wrócić z za tej „nowej i nieznanej granicy” do Warszawy. Wędrowała z przygodnymi znajomymi, po kresach objętych drugą, radziecką okupacją. Jak się dało to za pieniądze chłopską furą, często bez jedzenia i pie szo, byle do domu, do Matki. Udało się jej dotrzeć przez Równę, innych szczegółów drogi nie znam, aż w okolice Wilna, do wsi Zaosie. Tam mieszkała zaprzyjaźniona, a może spowinowacona rodzina, gdzie w latach szkolnych spędzała wakacje.

W „Przewodniku turystycznym po Wileńszczyźnie i Nowogródzczyźnie” Józefa Szulkiewicza z 1934 r. ta wieś wymieniona jest (ale bez szczegółów krajoznawczych) na trasie nr 12 wśród wycieczek dwu- i trzydniowych: Nowogród – Nowogródzczyzna Mickiewiczowska – Tuchanowicze – Woronóża – Cząbrów – jezioro Świteż – Zaosie – Swojatycze – Horodyszcze – Baranowicze. Mama przez nieznany mi czas odpoczęła w Zosiu po pierwszym, a przed nieznanym drugim etapem wędrowki do Warszawy. Z jej opowiadań pamiętam, że dotarła do domu od strony Białegostoku i Ciechanowa, ale

nie mam pewności, czy i jakim sposobem przez tzw. zieloną granicę Generalnej Guberni, ustanowioną przez okupacyjne władze hitlerowskie w październiku 1939 r. Opiekę nad Mamą, żoną oficera w swoistej sytuacji przed macierzyńskiej, w imieniu Rada Głównej Opiekuńczej, roztoczyło małżeństwo Ceglińskich. Ich syn poległ w obronie Warszawy. Pan Cegliński pomógł Mamie po moim urodzeniu, objąć pracę w biurze swojej firmy. Był jednym z głównych inżynierów w fabryce Polskich Zakładów Optycznych przy ul. Grochowskiej, (wtedy pod przymusowym zarządem okupantów z uwagi na produkcję rozmaitych przyrządów optycznych dla potrzeb wojennych). Państwo Ceglińscy mieli mieszkanie służbowe na terenie zakładów, przy ul. Kamionkowskiej.

Ja się urodziłem w Warszawie 28 listopada 1939 r. w klinice położniczej przy ul. Karowej. I siłą rzeczy oraz dzięki „bezlitosnej matce historii” nigdy nie zobaczyłem mojego Ojca. Gdy zacząłem to pisać te wspomnienia z dzieciństwa w Świeradowie Zdroju, z dygresjami wstecz, miałby 103 lata. O jego losach wiem niewiele, bowiem czasy jakie nastąpiły po 9 maja 1945 r. nie sprzyjały opowiadaniu co się z nim stało. Wiedziałem z rodzinnych opowieści, że Ojciec wielce okreźną drogą, przez wiele krajów, trafił do Wielkiej Brytanii. Skąd z powodu braku miejsca dla takich jak on, byłych polskich żołnierzy i oficerów, wybrał długoletni kontrakt na pracę w swoim zawodzie w kilku ówczesnych afrykańskich krajach brytyjskich kolonii. Nigdy jednak samodzielnie nie próbowałem tropić jego losów, zgłębiać na odległość motywów postępowania.

Mama wszelkie, bardzo jednak skromne wiadomości o losach Ojca, także te najbardziej osobiste i rodzinne – jak rozwód wymuszony w 1951 lub 1952 r. przez Ojca za pośrednictwem adwokatów angielskich – i rzadką korespondencję ukrywała przede mną. Listy od niego przeczytałem dopiero po śmierci Mamy w grudniu 1988 r. A to dlatego, że miała na utrzymaniu jeszcze oprócz mnie coraz bardziej sędziwą swoją Mamę, ale długie lata bardzo sprawną moją Babcie Bronisławę (1872-1962). W warunkach powojennych, zwłaszcza w czasach tzw. stalinizmu, nie mogła ryzykować szykan i utraty pracy. W tamtych latach przyznawanie się, że ktoś z rodziny pozostał „na zachodzie” i nie chciał wrócić do kraju, było po prostu niebezpieczne.

Tej drugiej Babki ze strony Ojca – Cecylii, z domu Tarasiewicz, pierwszej żony Dziadka Wojciecha, nie poznałem, bowiem zmarła w dość młodym wieku na gruźlicę. Z tego małżeństwa był (oprócz syna Romualda i córki Janiny) mój Ojciec Bonawentura, który urodził się 14 lipca 1910 r. Dopiero w wieku szkolnym dowiedziałem, że Dziadek Wojciech miał drugą żonę (w rodzinnych rozmowach nazywanych Macochą), która – łagodnie mówiąc – nie okazywała zwyczajnej sympatii dla mojej Mamy jako żony jej pasierba. A to z banalnego powodu – była przeciwna temu małżeństwu gdyż planowała usilnie jego ożenek ze swoją naturalną córką. Wszak był ustabilizowany życiowo jako oficer, a w tamtych czasach to była „dobra partia”.



Pod Domem Zdrojowym w Świeradowie Zdr. Autor (dziesięcioletni) z Babcie Bronisławą Kubicką i Wujem Ryszardem Kubickim

Rodzice w lutym 1938 r. zawarli ślub w kościele garnizonowym przy ul. Długiej 13/15 w Warszawie, który obecnie pełni rolę Katedry Polowej Wojska Polskiego. Faktycznie dawniej była to cerkiew prawosławna, a dziś swoista katolicka galeria muzealno-sakralna, w jej wystroju jest mnóstwo jednorodnych ideologicznie pamiątek, tablic, zabytków historycznych. A w podziemiach w 2010 r. urządzono Muzeum Ordynariatu Polowego, obrazujące – różnego wymiaru, można rzec „kalibru” – chwalebne dzieje naszego wojska od czasów Mieszka I oraz pieśni rycerskiej „Bogurodzica” do wydarzeń współczesnych.

Starszy brat Mamy – Ryszard, po powrocie z niewoli i wędrówki powojennej z amerykańskiej strefy okupacyjnej w Niemczech, odnalazł swoją Mamę – Bronisławę i Siostrę – Irenę na Okęciu w 1946 r. w skromnym mieszkaniu przy ul. Idzikowskiego. Jak wielu w tym czasie poszukiwał miejsca do życia i pracy. W niewoli jako polski podoficer był w niemieckim obozie Stalag I A Stablack (Obóz w Kamińsku, Obóz w Stablawkach) na terenie dawnego niemieckiego poligonu Stablack. Dziś są to wsie Stablawki i Kamińsk w gminie Górowo Iławeckie, powiat bartoszycki, województwo warmińsko-mazurskie. Był to jeden z największych obozów, w którym w latach 1939-1945 przebywało około 255.000 jeńców wojennych z całej Europy. Jeńcy musieli pracować jako robotnicy rolni „u bauera”.

Wuj Ryszard po powrocie wspominał nawet z nutą sympatii swoją pracę – po wyleczeniu rany z kampanii wrześniowej – w wielkim majątku rolnym pruskim-niemieckim „przy koniach” od września 1939 do wiosny 1945 r. Jego wojenne losy zakończyły się zimową i wiosenną ucieczką na zachód przez Gdańsk, gdzie został ranny podczas bombardowania. Siły do powrotu odzyskał w amerykańskiej strefie okupacyjnej w Niemczech. Dla wielu, także dla niego, możliwość normalnego życia otworzyła się na Ziemiach Zachodnich, wtedy nazywanych Odzyskanymi jako sprawiedliwy akt historii.

Wuj odnalazł swoją przedwojenną znajomą. Była to Zofia Mucharska, która opuściła zniszczoną Warszawę i pracowała w sekretariacie dyrektora zakładów celulozowych we Włocławku. Po ślubie 20 kwietnia 1947 r. we Włocławku jak wielu po wojnie chciał unormować swoje życie, już z własną, ale bezdzietną rodziną. Zdecydowali osiedlić się na nowych polskich kresach, w Wieńcu – Świeradowie Zdroju. W uzdrowisku Wuj w 1946 r. objął dużą willę przy ul. Kolejowej 459, potem ul. Kolejowej 8. Na frontowej ścianie zamiast niemieckiej nazwy domu „Waltraud” – to imię kobiety silnej i władczej – umieścił tablicę z imieniem żony – Willa „Zofia”. Masywny dom na skłonie Grzbietu Kamienickiego, opadającym do rzeki Kwisa, jest położony na przedmieściu, tuż przy bocznic kolejowej i dworcu, około 1,5 km od górnej, zwartej, reprezentacyjnej, bardziej znanej części uzdrowiska.

Potęzną willę niemiecką z pełnym wyposażeniem po wysiedlonym właścicielu Wuj objął jako formę wyrównania także osobistych strat wojennych, był inwalidą z tytułem osadnika wojskowego. Willa „Zofia” wydawała mi się ogromna chyba dlatego, że do wysokości pierwszego piętra była obłożona ciosami z szarego granitu. Moje wakacyjne dni pod opieką Wuja miały swoje znaczenie przede wszystkim wychowawcze. Taką decyzję podjęli Mama i Wuj z przekonaniem, że powinienem być pod męską opieką, i oczywiście w razie konieczności „ręką” w zastępstwie Ojca.



Niemiecka pocztówka z Willą „Waltraud” potem „Zofia” przy ul. Kolejowej 459, gdzie w latach 1946-1953 spędzałem wakacje u Wuja Ryszarda Kubickiego, inwalidy-osadnika wojskowego

**Cdn.
Tomasz Kowalik**

Rowerem po Toruniu 2016

Rower staje się powoli codziennym środkiem komunikacji dla wielu mieszkańców naszych miast, także coraz więcej turystów w swych wakacyjnych podróżach korzysta z roweru by wygodnie dotrzeć do interesujących ich miejsc. Sprzyjają temu sieci całodobowych miejskich wypożyczalni rowerów. Jeśli ktoś nie wozi ze sobą roweru na samochodzie lub nie podróżuje z rowerem koleją, często korzysta z roweru publicznego. Podobnie jest w moim Toruniu. Może się wydawać, że oferta nie w pełni zaspokaja potrzeby mieszkańców i przybyszów, wszak zawsze można coś poprawić, jednak chętnych nie brakuje i miejskie rowery coraz częściej „śmigają” między tymi prywatnymi.

Nikogo już nie dziwią kolejki rowerzystów czekających na zmianę świateł na skrzyżowaniach. To typowy obrazek w porze porannego i popołudniowego szczytu oraz w piątkowe wieczory, no i w dni wolne od pracy. Wtedy na drogi rowerowe ruszają gromadnie mieszkańcy używający rower do rekreacji. Tymczasem szybko rośnie ilość zwolenników codziennej komunikacji rowerowej. Do szkoły, do pracy, na uczelnię, na koncert, na zakupy. Mieszkańcy coraz śmielej sięgają po rower, by szybko przebieść się po mieście. Wystarczy przyrzeć się parkingom rowerowym przy szkołach. Powstały w ciągu ostatnich 3 lat, w pogodne dni często brakuje na nich miejsca. Na Starówce zainstalowano w wielu miejscach pojedyncze stojaki i parkingi, które cieszą się dużym zainteresowaniem. Sprzyja temu sieć dróg rowerowych, pieszo-rowerowych i chodników udostępnionych do ruchu rowerowego. Budowane są długie trasy oraz odcinki łącznikowe scalające system dróg rowerowych. Najlepsza sytuacja jest w relacjach wschód – zachód, zresztą miasto jest rozciągnięte „od lewej do prawej”. Powstała niedawno Północna Trasa Średnicowa biegnąca na północ od centrum łączy Chełmińskie Przedmieście na zachodzie przez dzielnicę Mokre z Rubinkowem na wschodzie. Dzięki odcinkom łącznikowym rowerzysta w ciągu kilkunastu minut może przejechać między tymi dzielnicami. Ponadto trasa biegnie wzdłuż terenów handlowo-usługowych, łączy się z podobną arterią ul. M. Skłodowskiej-Curie, która doprowadza do najdalej na wschód położonych dzielnic: Grębocina i Bielaw, praktycznie do wschodniej granicy miasta. Także ze ścisłego Centrum można dojechać do wschodnich i zachodnich dzielnic korzystając z dróg rowerowych i pieszo-rowerowych na Rubinkowo i osiedle Na Skarpie na sam koniec miasta. Nieco gorzej jest na kierunku północ – południe, wciąż czekamy na realizację ważnej arterii – Trasy Staromostowej, łączącej Centrum z Chełmińskim Przedmieściem przy której ma powstać infrastruktura dla ruchu rowerowego. Dziś istnieje tylko jeden półkilometrowy odcinek, brakuje jeszcze dwóch ważnych fragmentów. Druga wyczekiwana tranzytowa droga rowerowa ma połączyć akademickie Bielany z Chełmińskim i Wrzosaми. Oba zadania są związane z innymi miejskimi inwestycjami, które mają powstać w ciągu kilku najbliższych lat. Tyle ogólnych wiadomości.



Parking rowerowy przy Ratuszu

Co z tego dla turysty? Gdy spojrzymy na schemat sieci dróg rowerowych w Toruniu bez trudu zauważymy, że wiele tras biegnie obok obiektów Twierdzy Toruń. Forty IX, VIII, VII, VI, V i IV znajdują się blisko dawnej fortecznej drogi rokadowej, dziś Szosy Okrężnej i ul. Polnej. Właśnie wzdłuż nich biegną drogi rowerowe. Fort IV (Yorck-Żółkiewski) został zagospodarowany na cele turystyczne. Można tam zamieszkać w części koszarowej w autentycznych izbach żołnierskich, zwiedzać go dniem i nocą, uczestniczyć w rozmaitych wydarzeniach prezentujących historię tego miejsca. Jadąc Trasą Średnicową lub ul. Polną ujrzymy mniejsze obiekty (schrony). Podobnie Forty I, II i XIV leżą tuż przy rowerowych szlakach. Bez problemu turysta na rowerze wjedzie na toruńską Starówkę, a jedyne ograniczenia ruchu dotyczą wschodniej pierzei Rynku Staromiejskiego, dwóch odcinków głównego „deptaku” – ul. Szerokiej i krótkiego odcinka ul. Królowej Jadwigi. Na wielu ulicach Starówki funkcjonuje z powodzeniem kontra-ruch rowerowy. Nie brakuje miejsc do zaparkowania roweru. Na Rynku Staromiejskim znajdują się dwa parkingi: przy Ratuszu po stronie zachodniej, pod Domem Harcerza obok Dworu Artusa oraz przy budynku Poczty Głównej. Duże parkingi są na Placu Dominikańskim obok makiety Starego Miasta i na Rynku Nowomiejskim. Na wszystkich uliczkach Starówki rowerzysta znajdzie rozmieszczone w różnych miejscach stojaki. Mieszkańcy na kempingu Tramp po lewej stronie miasta mogą dojechać do prawobrzeżnego Torunia po starym moście Piłsudskiego, na którym jest dozwolony ruch rowerów po chodnikach. Na nowym moście im. gen. Elżbiety Zawackiej droga rowerowa znajduje się po stronie wschodniej. Do mostu doprowadza droga rowerowa poprowadzona wzdłuż ul. Rudackiej. Z kempingu przez Plac Armii Krajowej i drogę rowerową wzdłuż ul. Nieszawskiej ciekawi historii dawnych mieszkańców terenów Dolnej Wisły dojadą do Małej, dalej już ulicą do Wielkiej Nieszawki, gdzie powstał Ołederski Park Etnograficzny. W nim trzy zagrody pochodzące z końca XVIII i z XIX w. Na terenie Parku znajduje się odrestaurowany cmentarz menonicki, właściwie Park został dobudowany do istniejącego cmentarza.



Infrastruktura rowerowa w Centrum



Na rowerze po Starówce „pod prąd”

Co to jest mofeta? Mały wulkan czy może gejzer?

Słowo brzmi obco, a to tylko nazwa zjawiska przyrodniczego, dokładniej z dziedziny przyrody nieożywionej, a jeszcze dokładniej to pomnik przyrody nieożywionej, noszący imię profesora Henryka Świdzińskiego – geologa, badacza polskich złóż naftowych.

Mofeta to w zjawisko w miniaturze przypominające gejzer lub wulkan, wywierzyisko wód mineralnych i bulgoczące ujęcie dwutlenku węgla z głębi ziemi. Zjawisko tym bardziej osobliwe, że bardzo rzadkie, znane bodajże tylko z Beskidu Sądeckiego. Mofety występują w Popradzkim Parku Krajozrazowym (PPK), który niedługo będzie obchodził jubileusz swego powstania (1987-2017).

Amatorzy podziwiania tego niezwykłego zjawiska przyrodniczego powinni wybrać się do PPK, dokładniej w okolice Tylicza, Łomnicy, Złockiego i Muszyny, czyli miejscowości powszechnie znanych tzw. prawdziwym turystom i łazęgom wszelkiej maści, co to zajrzą pod każdy krzak i kamień. A jak to zrobią to znajdą osobliwość, nazywaną naukowo suchą ekshalacją dwutlenku węgla. Najbardziej godne uwagi i najbardziej aktywne są bulgoczące ujęcia gazu w okolicach Złockiego i Muszyny, dokładniej w zabagnionym korycie potoku Złockiego. Jest ich kilka na niewielkiej powierzchni, więc tym łatwiej je zauważyć. Wypada usiąść obok i podziwiać tę osobliwość.

Mają swoje nazwy, pochodzące od istoty zjawiska, tradycyjnie od wydobywającego się dźwięku. Największe ujęcie gazu i wody mineralne, czyli właśnie mofeta nazywana jest „Bulgotką”. Natomiast „Dychawka” to ujęcie suchego dwutlenku węgla, zaś płynący potok Złocki tylko częściowo tłumi dźwięki uchodzącego gazu spod wody, i dlatego nazywane jest „Zatopione”. Każde z ujęć gazu i wody niejako „śpiewa swoją melodię”, więc w ciszy łatwo usłyszeć i odróżnić, że każde brzmi inaczej.

Okolice ujęcia „Dychawki” jest obłożone nieforemnymi kamieniami, jak wiele potoków, „Zatopione” wypełnia jest podobne do ujęcia wody znad rudy darniowej, więc woda a właściwie galareta, jest rudo-brązowa, a czasem nawet czerwona, zaś „Bulgotka” obłożona kamieniami przypomina taka polną studzienkę i jest najgłośniejsza. Dojście do mofet i obserwowanie ich „życia” ułatwiają schodki i pomosty z barierkami, zjawisko objaśniają opisy na tablicach informacyjnych.

Najbardziej „zagospodarowany” jest zespół kilkudziesięciu mofet ujętych w kilkunastu szeregowym ciągu kręgów studziennych w okolicy Tylicza. Pierwsze tego rodzaju podobne do ujęcia wulkanicznego źródło gazów odkrył prof. Świdziński podczas badań terenowych w 1938 roku w okolicach Jastrzębika. Niebawem uznano to miejsce za pomnik przyrody nieożywionej i nadano temu i w Złockiem imię odkrywcy. Warto wiedzieć, że gazy uchodzące z mofet mają, na Węgrzech znaczenie lecznicze, nasze o znacznie mniejszej wydajności nie są wykorzystywane w takich celach. Tym bardziej, że uchodząca z mofet mieszanka gazów – dwutlenku węgla, azotu, tlenu i metanu – ma właściwości trujące, o czym świadczy zupełny brak owadów, m.in. tak dokuczliwych jak komary.

Mofety sądeckie są jednym z najbardziej oryginalnych zjawisk geologicznych w Beskidzie Sądeckim, a zapewne także w naszych Karpatach, jeśli nie liczyć naturalnych ujęć ropy naftowej, używanej dawniej, a także sporadycznie obecnie, do smarowania osi wozów czy powlekania dachów gontowych. Popradzki PK ma kilkanaście rezerwatów przyrody, kilkadziesiąt pomników przyrody żywej i nieożywionej, jak mofety. Do licznych ułatwień dla krajoznawców i turystów uważających się za przyrodników zaliczane są popradzkie ścieżki edukacyjne i przyrodnicze, głównie



Mofeta w Tyliczu. Fot. www.krynica.pl

w rezerwacie „Las lipowy Obrożyska”, Szlak turystyczno przyrodniczy im. hrabiego Adama Stadnickiego, właściciela lasów w rejonie Prehyby i Jaworzyny Krynickiej, który na początku minionego stulecia w swoich lasach urządził pierwsze rezerваты przyrody, był członkiem Państwowej Rady Ochrony Przyrody. Ponadto wytyczone są strefa ochrony ptaków i edukacyjnej ścieżki ornitologicznej.

Jednak mofety należą do atrakcji najwyższej próby i dla krajoznawców mogą stać się ozdobą w kolekcji poznanych miejsc i pomnikowych obiektów chronionych. Mofeta w Tyliczu, jak kilkadziesiąt innych bulgotek i dychawek, jest naturalnym źródłem dwutlenku węgla, a zjawisko występujące w naszych Beskidach jest jedną z form wulkanicznych. To tym ciekawszy obiekt w Popradzkim PK, że należy do wyjątkowych, największych tego rodzaju zjawisk w skali europejskiej i światowej.

Jakby mało było osobliwości w naturze tego zjawiska geologicznego, jest ono łatwo dostępne dla zwiedzających, tym bardziej atrakcyjne dla amatorów poszukujących osobliwości na naszych szlakach turystyki przyrodniczej, i to na bardzo ograniczonym terenie. Największą osobliwość i unikatowe zjawisko przyrodnicze w Popradzkim PK warto poznać i zapamiętać i zachęcić innych do podziwiania.

Tomasz Kowalik

„Gdy lecieliśmy śmigłowcem do Krakowa, papież powiedział mi: Gdybym tu nie przyjechał, mojej pielgrzymce do Polski brakowałoby czegoś” – wspomina ks. abp Alfons Nossol, emerytowany ordynariusz opolski.

Pamięć i obecność

Sanktuarium św. Anny położone na najwyższym wzniesieniu Wyżyny Śląskiej było celem **VII Rodzinnego Rajdu „Szlakami Jana Pawła II**. Przedsięwzięcie, którego realizatorem było Koło PTTK „ToTuToTam” z Młodzieżowego Domu Kultury w Świdnicy, tradycyjnie odbyło się w ramach XI edycji Dni Św. Jana Pawła II „Pamięć i obecność” w dniu 22.05.2016 r. Dzięki inicjatorom ks. prałatem Janem Bagińskim i panem Andrzejem Protasiukiem Świdnica od lat upamiętnia rocznicę urodzin świętego, wielkiego Polaka i patrona naszego miasta. Poprzez sfinansowanie autokaru przez Gminę Miasto Świdnica w Rajdzie uczestniczyć mogła 49 osobowa grupa dzieci wraz z rodzicami.

W trakcie spaceru do pomnika „Czynu Powstańczego” zaprojektowanego przez Xawerego Duknickiego przybliżono dzieciom dzieje krwawej bitwy o Górę św. Anny, która miała miejsce w dniach 21-26 maja 1921r. Było to starcie Ślązaków z oddziałami niemieckiego Freikorpsu w trakcie III Powstania Śląskiego.

Dzięki rozmieszczonej na trasie tablicom poglądowym uczestnicy wycieczki zapoznali się z historią budowy amfiteatru. Przedwojenne władze niemieckie przebudowały kamieniołom wapienny na amfiteatr. Projektantami byli architekci berlińscy Franz Böhmer i Georg



Petrich. Obiekt ten miał być „przeciwwagą” dla pobliskiego katolickiego sanktuarium i klasztoru na szczycie. Po wyzwoleniu Opolszczyzny w 1945 r. zmieniały się koncepcje i ogłoszono konkursy na zagospodarowanie tego terenu. Uroczyste otwarcie nastąpiło 19 czerwca 1955 r. Ostatecznie pomnik (pod oficjalną nazwą pomnik „Czynu Powstańczego”) powstał z czterech pylonów z bloków granitowych o wymiarach 100 x 80 x 40 cm i wysokości 11 m. W środku postumentu jest rozległa sala, która nigdy nie została zagospodarowana. Na pylonach moż-



na oglądać sceny ilustrujące historię walki o polskość Śląska, ale zawierają one błędy historyczne, są nasycone ówczesną ideologią i dlatego należy się zastanowić czy dzieciom je omawiać.

Korzystając z pięknej majowej pogody i dobrze oznakowanych ścieżek Parku Krajobrazowego Góra św. Anny nasza grupa ruszyła w plener, by w końcu dotrzeć do Amfiteatru i jego sceny. W trakcie spaceru prowadzący grupę – Zbigniew Curyl wspominał pobyt Ojca Świętego w tym miejscu 21 czerwca 1983 r. Jan Paweł II odprawił Nieszpory, zmieniając plan ówczesnej wizyty w naszym kraju i wykorzystując przerwę w podróży śmigłowcem z Wrocławia do Krakowa. Na spotkanie przybyło ponad milion wiernych. „Pielgrzymów było tak wielu, że w ostatniej chwili trzeba było przygotować dwa dodatkowe sektory” – wspomina abp Nossol. „– Ponieważ spotkanie wypadło w czerwcu, należało skosić jeszcze niedojrzałe zboże, żeby ludzie mieli gdzie usiąść. Franciszkanie zawarli z miejscowymi rolnikami umowę, że oddadzą im tyle zboża, ile normalnie w tym miejscu żniwowali. Pod tym warunkiem rolnicy zgodzili się skosić swoje pola i nakarmić tym zbożem zwierzęta. Ogłosiliśmy w diecezji na ich rzecz zbiórkę ziarna i dostaliśmy go trzy razy więcej, niż było potrzeba. Zaopatrzyliśmy nie tylko rolników, ale jeszcze okoliczne klasztory w mąkę.”

Amfiteatr robi na przybyszach wielkie wrażenie,



mimo że obecnie jest znacznie zdewastowany. Za czasów świetności oferował 7 tysięcy miejsc siedzących i 20 tysięcy miejsc stojących. Dzieci ochoczo prezentowały swoje głosy ze sceny a pozostali uczestnicy podziwiali możliwości akustyczne tego miejsca. Wspaniale wyglądała oświetlona popołudniowymi promieniami słońca scena i stroma widownia osłonięta i zacieniona przyległym lasem. Żal, że miejsce to nie jest obecnie należycie wykorzystywane.

Na zakończenie Rajdu wszyscy udali się na zwiedzanie bazyliki i sanktuarium z figurą św. Anny Samotrzeciej z XV wieku. Po stromych schodach weszliśmy w obręb Rajskiego Placu – dziedzińca arkadowego, w obrębie którego ustawiono 15 stuletnich konfesjonałów. Wszyscy zwrócili uwagę na papieski herb umieszczony na fasadzie świątyni upamiętniający pobyt Ojca Świętego. Barokowe wnętrze sanktuarium przyniosło chłód i ukojenie. Figura św. Anny Samotrzeciej, umieszczona w ołtarzu głównym, wyrzeźbiona jest w drewnie lipowym. Przedstawia trzy postacie: św. Annę trzymającą dwoje dzieci: na lewym ramieniu córkę – Maryję, a na prawym wnuka – Jezusa. Według przekazu z 1516 r., w głowie figury przechowuje się fragment kości, relikwię św. Anny. O godz. 17.00 uczestniczyliśmy we mszy świętej i było nam miło, że Franciszkanin wygłaszający homilię cytował słowa biskupa świdnickiego prof. Ignacego Deca. Rajd zakończyliśmy przy pomniku papieża. Teraz to właściwie nie jest pomnik, tylko figura świętego Jana Pawła II.

Kolekcjonerzy odznak krajoznawczych cieszyli się z kolejnych zdobyczy do Polskiego NAJ i OK Poznaj Polskie Pomniki.

Zbigniew Curył

Cytaty pochodzą ze strony <http://www.nto.pl>

Przejście Głównego Szlaku Świętokrzyskiego

Redakcja magazynu NA SZLAKU objęła patronatem medialnym imprezę turystyczną przejścia Głównego Szlaku Świętokrzyskiego (93km) w dniach 12-15 sierpnia br. Po czterech odcinkach czerwonego szlaku, w krainie Baby Jagi, poprowadzą Was przewodnicy ORSO PTTK Opole. Zachęcamy do udziału!

Wyruszamy do krainy BABA JAGI
w dniach 12-13-14-15 sierpnia 2016r.
na **PRZEJŚCIE ODCINKAMI CAŁEGO GŁÓWNEGO SZLAKU (93km)**
ŚWIĘTOKRZYSKIEGO

Z KADRA PROGRAMOWĄ ODDZIAŁU REGIONALNEGO ŚLASKA
OPOLSKIEGO - PRZEWODNIKAMI I PRZODOWNIKAMI GOT PTTK

Dalsze informacje u:

KOMANDORA RAJDU PRZEWODNIKÓW PTTK

WOJTEK "PREZES" KWIECIEŃ

tel. **728-515-953**

email **wojtek.kwiecien@wp.pl**



Cena

400zł dla członków PTTK
i zaprzyjaźnionych Kół
i Klubów PTTK;
390zł Przewodnicy i Piloci
KpiPW Ziemi Opolskiej;
380zł Dzieci i Młodzież;
450zł Dla pozostałych
Miłośniczek i Sympatyków
nie będącymi członkami PTTK



Na Zboczach Płutowskich

Pisałem już kiedyś o wzgórzach i wąwozach krawędzi Pradoliny Wisły w okolicach Bydgoszczy i Torunia po lewej stronie Wisły, tym razem prezentuję stronę prawą między Unisławiem a Chełmnem. Cały ten teren między Bydgoszczą a Świeciem z jednej oraz w okolicach Chełmna aż po Grudziądz z drugiej, objęty jest ochroną krajobrazową. Na prawym brzegu znajduje się Chełmiński Park Krajobrazowy. Można z grubsza wyróżnić trzy zasadnicze elementy krajobrazu: Wisłę, pas łąk i pól, i wysoki brzeg Pradoliny. Poziom lustro wody między Unisławiem a Chełmnem oscyluje na wysokości 32-30 m n.p.m., ledwo kilka metrów wyżej znajduje się szerokie dno Pradoliny, zaś wysoczyzna osiąga średnio 70, a miejscami prawie 90 m n.p.m.. Charakterystycznym widokiem jest szachownica łąk i pól wyznaczona przez regularną sieć kanałów melioracyjnych, taki swoisty paczwork (patchwork).

Zapraszam na Zbocza Płutowskie, przy czym nie wyzna-



Wiata turystyczna u wylotu Wąwozu Kiełpskiego



Na wyniosłym wzgórzu nad Pradolina Wisły

czam konkretnej trasy, ponieważ można ją sobie samemu wytyczyć korzystając z informacji dostępnych w „sieci”, w oparciu o przeglądarkę „Google”. Zobaczymy tam zdjęcia i mapy, które stanowią dobry materiał wyjściowy do wytyczenia trasy. Na zbocza Płutowskie można wyruszyć już z Chełmna lub Unisławia, jednak dojście zajmie 2 do 3 godzin. Najlepszymi punktami startu są wsie Gołoty, Szymborny, Płutowo i Kiełp. Wychodząc z nich można zwiedzić kilka wąwozów i ciąg wzgórz stanowiących krawędź wysoczyzny. Można przewędrować cały odcinek Pradoliny od



Płutowskie „połoniny”

Unisławia do Chełmna, ale to zajmuje cały dzień, nie da się przecież pominąć bocznych dolin i dolinek, parowów, wąwozów i wyniosłych wzgórz. Każde takie miejsce kusi turystę. Można iść krawędzią stromych zboczy o nachyleniu niegającym 60 stopni, by za chwilę wędrować śladem ścieżki przez trawiastą „połoninę”. Ja polecam trasy okrężne. Można rozpocząć we wsi Gołoty idąc od wsi na krawędź Pradoliny i kierując się dalej w kierunku Chełmna (czyli z biegiem Wisły) iść do Szymborna lub dalej do Płutowa. Inny wariant to wyjście z Szymborna

przez wieś folwarczną i teren dawnego majątku z ciekawym gołębnikiem i wędrowka brzegiem Pradoliny do Płutowa lub dalej do wsi Kiełp.

Wycieczkę można też rozpocząć w Kiełpie schodząc szutrową drogą wzdłuż wąwozu do wiaty turystycznej u podnóża charakterystycznej wyniosłej góry. Samym dnem Wąwozu Kiełpskiego raczej nie da się iść, chyba że ktoś ma doświadczenia z wietnamskiej dżungli. Jest niemal niedostępne. W Kiełpie znajduje się rzadka figura św. Walentego, patrona zakochanych. Nic dziwnego, jesteśmy niedaleko Chełmna – miasta zakochanych, to w Chełmińskiej farze znajduje się relikwia Świętego. Jeszcze dalej, już niedaleko Chełmna znajduje się warta odwiedzenia Góra św. Wawrzyńca. U podnóża ciągu wzgórz biegnie wygodna gruntowa droga (pieszy szlak żółty), ale wprawny turysta wynajdzie dla siebie liczne ścieżki wijące się przez wąwozy i wzgórza. Po prostu trzeba wyznaczyć kierunek i wykorzystując dogodne przejścia zapuścić się w ciekawy, urozmaicony teren. W Płutowie można skorzystać ze ścieżki dydaktycznej, której początek znajduje się nieco w bok od wsi, doprowadza do niej wyraźna zadrzewiona aleja. Ścieżka biegnie ciekawym Wąwozem Płutowskim. W zasięgu turysty znajdują się dwa rezerваты: Płutowo i Zbocza Płutowskie – to oficjalne nazwy. Rezerwat Zbocza Płutowskie

chroni roślinność ksero-termiczną i stepową: liczne gatunki muraw i kwiaty – storczyki i miłka wiosennego. W pionowych ścianach powstałych na skutek obrywów i osuwisk na stromych zboczach mają siedliska zwierzęta i owady np. pszczoła stepowa. Spotkamy tu sarnę, lisa, liczne gatunki ptaków w tym żurawie. Można trafić na jaszczurkę zwinkę i żmiję zygzakowatą. Inne ciekawostki warte odwiedzenia to dwa schrony piechoty z okresu sprzed I Wojny Światowej (1910): IR1



Żurawie na polach pod Szymbornem

i IR2 wchodzące w skład Twierdzy Chełmno. Do schronu IR1 kieruje tabliczka w centrum wsi. Parów ze schronem jest ogrodzony. Zwiedzanie możliwe po skontaktowaniu się z panią sołtys Anną Baranowską (namiary są w „sieci”), przynajmniej tak głosi informacja na ogrodzeniu przy schronie. Schron jest sporym obiektem stanowiącym kwaterę dla kompanii piechoty. Obecnie służy nietoperzom za zimowisko.

Na wschód od wsi Kiełp znajduje się jeszcze kilka ciekawych obiektów militaryjnych zbudowanych po roku 1900, a przed I WŚ (okolice Watorowa). W sumie na południe od Chełmna znajdziemy kilkadziesiąt mniejszych i większych schronów stanowiących umocnienia Twierdzy Chełmno. Informacje na ich temat ciekawi znajdują na stronie www.twierdzachelmno.pl Co jeszcze ciekawego można powiedzieć o Zboczach Płutowskich? Jest tu oficjalne oznakowane startowisko paralotniowe. Od niego w kierunku Starogrodu biegnie ścieżka pozwalająca na wędrowkę przez „wnętrze” wału wzgórz. Ścieżka ze startowiska zagłębia się w las, jednak jest na tyle wyraźna, że można się nią poruszać. Na zboczach między Wąwozem Kiełpskim a startowiskiem prowadzi się wypas owiec wrzosówek w celu utrzymania właściwej roślinności stanowiącej przedmiot ochrony.

Turyści dysponujący samochodem mogą zostawić pojazd, w którejś z wymienionych wyżej wsi, można tu dojechać autobusem relacji Toruń – Chełmno lub Chełmno – Toruń. Zbocza Płutowskie są także celem kolarzy górskich ponieważ przecinają je dwie drogi: jedna asfaltowa łącząca Płutowo i Bruki Kokocka, druga szutrowa ze wsi Kiełp do podnóża wysoczyzny – do wspomnianej wiaty turystycznej i dalej na północ w kierunku Starogrodu. Obie drogi zapewniają fantastyczne zjazdy, ale trzeba uważać na ostrą serpentynę na asfalcie z Płutowa do Bruków. Nie trzeba dodawać, że podjazd pokonujący na krótkim odcinku sporą różnicę wysokości wymaga trochę wysiłku, ale te zjazdy... Z Torunia cyklista dojedzie asfaltową drogą rowerową do samego Unisławia (22 km), dalej ul. Żwirki i Wigury przez Unisław i szosą na Gołoty, Szymborno, Płutowo.

Jak widać teren Zboczy Płutowskich to ciekawe miejsce dla piechura i rowerzysty. Ciekawe, choć wymagające, ale warte odwiedzenia.

Juliusz Wystouch



Św. Walenty z Kiełpia

Górski Dom Turysty
"Pod Biskupią Kopą"
48-267 Jarnołówek 211
tel. 077/439-75-84
www.biskupiakopa.pl
e-mail: biskupiakopa@wp.pl

Spacerkiem po kanadyjskim London

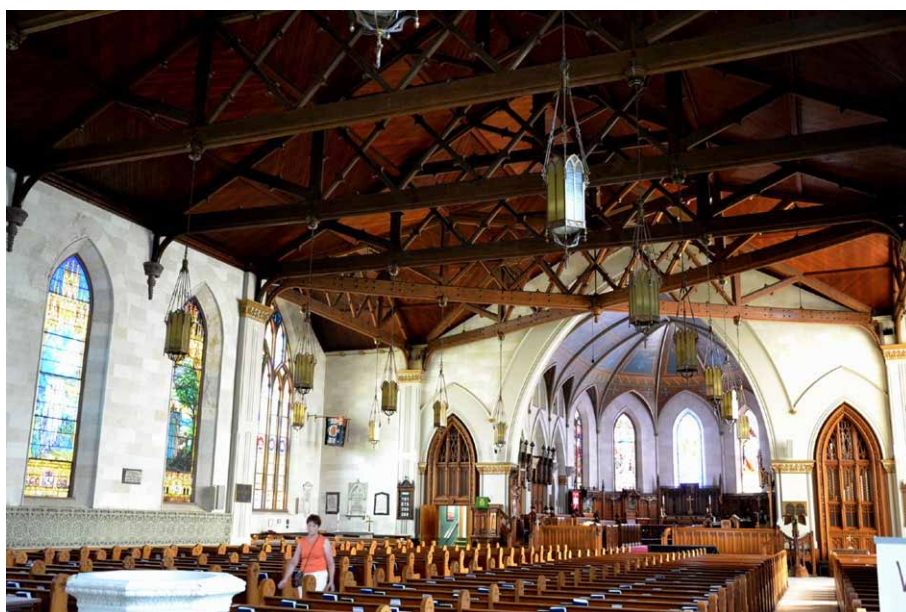
„Przyzwyczajenie drugą naturą”... turyści! W myśl tego powiedzenia kolejny dzień poznawania kanadyjskiego miasta London zaczynamy od ... kościołów. Pierwsze kroki kierujemy do katolickiego kościoła św. Piotra – katedry diecezji London. Ta imponująca, dwuwieżowa, trójnawowa bazylika z wydatnym prezbiterium i transeptem, powstała w stylu francuskiego, XIII-wiecznego gotyku w latach 1880-85. Jako centrum katolicyzmu południowo-zachodniej części Ontario została w 1961 r. podniesiona do godności bazyliki mniejszej. Podziwiamy w niej piękną rozetę witrażową wykonaną w austriackim Innsbrucku i dekorację malarską z lat 1925-26.

Sąsiadem św. Piotra przez rozległy skwer jest... św. Paweł! A ściślej: anglikański kościół św. Pawła. Pierwsza świątynia, drewniana, zbudowana w tym miejscu w roku 1834, spłonęła 10 lat później. Obecna, wzniesiona została w stylu neogotyckim w latach 1844-46. To tu po raz pierwszy w dziejach Imperium Brytyjskiego, 9 lipca 1857 r., synod diecezjalny dokonał wyboru biskupa ósmej diecezji kanadyjskiego Kościoła anglikańskiego (dotychczas biskupów mianował król), a kościół został ustanowiony katedrą nowej Diecezji Huron. W jego wnętrzu oglądamy oryginalną, drewnianą więźbę dachową, a także wielką ilość tablic pamiątkowych, poświęconych żołnierzom i oficerom miejscowych jednostek, poległych w czasie I wojny światowej, po czym udajemy się do niedalekiego Parku Wiktorii.

W tej części miasta do czasu powstania Konfederacji Kanady znajdował się brytyjski garnizon wojskowy. W 1869 r. wojsko przekazało władzom miasta teren o powierzchni 15 akrów z zastrzeżeniem, że ma on służyć celom publicznym. W sześć lat później na miejscu dawnych koszar utworzono Victoria Park – pierwszy publiczny park w London. Jego otwarcia dokonał w czasie wizyty w London Lord Dufferin,



Katedra katolicka św. Piotra w London



Wnętrze katedry anglikańskiej św. Pawła w London

ówczesny gubernator generalny Kanady, który też nadał parkowi nazwę na cześć panującej wówczas królowej Wiktorii. Tradycje wojskowe tego miejsca przypominają m. in. pomnik poświęcony pamięci miejscowych żołnierzy, poległych w Afryce Południowej w czasie 2. wojny burskiej w l. 1899-1902.

Przy tej okazji trzeba wspomnieć postać wybitnego obywatela miasta – Williama Saundersa (1836-1914) – farmaceuty, botanika, entomologa, pomologa, specjalisty w zakresie nowoczesnych metod uprawy roślin i ich ochrony przed szkodnikami. Inicjatora zaprzęgnięcia różnych dziedzin nauk przyrodniczych w służbę rolnictwa. A także pioniera tego, co dziś tak często krytykujemy: hybrydyzacji i – w naturalny sposób – genetycznej modyfikacji roślin uprawnych. Trudno wyliczyć funkcje, które pełnił w rozmaitych towarzystwach naukowych i organizacjach, z których wiele zresztą sam zakładał. Zwieńczeniem tych zaszczytów było przewodnictwo w latach 1906-1907 w Royal Society of Canada. W 1878 r. Saunders wyłożył z własnej kieszeni 600 ówczesnych dolarów, by zamówić plan urządzenia parku u Charlesa H. Millera, wówczas czołowego amerykańskiego architekta krajobrazu. Projekt nawiązywał do popularnych parków w stylu angielskim, jednak dominował w nim ówczesny wiktoriański „smak” z alejami obrzeżonymi szpalierami drzew. Skrzyżowania alejek i ścieżek zostały zaznaczone już to kwietnymi rabatami, już to fontanną i estradą. Najczęściej utrwalanymi na fotografiach obiektami była trzypiętrowa Fontanna Kupidyna i Liliowy Staw. Jako ciekawostkę podają tu, że z końcem XIX w. władze miasta odmówiły członkom London Bicycle Club prawa do poruszania się po parku rowerami (później zezwolenie takie zostało w końcu udzielone), natomiast ruchu pojazdów samochodowych po parkowych alejach zabroniono dopiero w roku 1951!

Dziś, po licznych przebudowach, Victoria Park dalej jest najliczniej odwiedzanym parkiem w mieście. Co roku zachodzi tu ponad milion ludzi. Ich ulubionym zajęciem jest m. in. obserwowanie tutejszych wiewiórek, których przodkami były podobno cztery pary, introdukowane w parku w 1914 r. Oprócz wiewiórek zwracają naszą uwagę trzy eksponowane tu armaty. Były one używane podczas oblężenia Sewastopola w czasie wojny krymskiej i przywiezione do London po upadku sewastopolskiej twierdzy w 1855 r. Jedna z nich jest brytyjska, dwie pozostałe – zdobyczne, rosyjskie. – Eh! – myślę. – To my jak Kanadyjczycy: też kiedyś zdobywaliśmy rosyjskie armaty!...

Kolejne kroki, zgodnie z planem, kierujemy do „Eldon House”. Drewniany, piętrowy dworek, otoczony pięknie utrzymanym ogrodem, jest najstarszym zachowanym domem mieszkalnym w mieście. Został zbudowany w 1834 r. przez kapitana Johna Harrisa, byłego oficera marynarki angielskiej, zajmującego się przez szereg lat mapowaniem wód Wielkich Jezior. Harris przybył do London wraz ze swoją żoną Amelią i dziećmi po przeniesieniu tu w 1831 r. z Vittorii siedziby administracji dystryktu, w której objął stanowisko skarbnika. Cztery generacje rodziny Harrisów mieszkały tu przez 125 lat, a sam budynek był przez wiele lat ważnym ośrodkiem życia społecznego i kulturalnego miasta. W 1960 r. rodzina ofiarowała dom wraz z większością wyposażenia i 11-akrową działką miastu z przeznaczeniem na muzeum i park. W jego wnętrzu podziwiamy pięknie zaaranżowane ekspozycje, obrazujące życie miejscowych „wyższych sfer” w 2. połowie XIX i początkach XX w.

Muzeum organizuje wiele „eventów”: zwiedzania tematyczne, wystawy specjalne itp. W lipcu i sierpniu ogromnym powodzeniem („Reservations highly recommended!” – przestrzega program) cieszą się organizowane od wtorku do soboty w godzinach 14.00 – 16.00 („2:00 to 4:00 p.m.”



Pomnik poległych w wojnie burskiej w Victoria Park

– poprawia mnie Basia) „herbatki” w przymuzealnym ogrodzie. Właśnie kilkoro młodych ludzi zaczyna rozstawiać stoły i krzeselka, więc opuszczamy gościnne progi muzeum i kierujemy się ku nowym celom.

„Przyjaciele naszych przyjaciół są również naszymi przyjaciółmi”. W myśl tej zasady poznani zaledwie parę dni wcześniej Marysia i Zbyszek zapraszają nas na długi spacer brzegiem wspomnianej już poprzednio rzeki Thames – tutejszej „Tamizy”. Wzdłuż jej lewego



Eldon House

brzegu na długości ponad 4 km leży największy w mieście ciąg publicznych parków. Na wschodzie zaczyna się Parkiem Greenway, do którego przylegają The Coves Ponds – trzy wydłużone stawy w dawnym meandrze rzeki, otoczone pięknym zespołem leśnym, chronione jako obszar o szczególnym znaczeniu dla środowiska (Environmentally Significant Area). Na zachodzie kończy się Parkiem Springbank na wysokości nieczynnej obecnie zapory Springbank Dam.

Podziwiamy różnorodnie zagospodarowany teren z rabatami kwiatowymi, ładnym parkiem w stylu angielskim, „bajkowym” ogrodem dla najmłodszych, skateparkiem, wygodnymi ścieżkami i ławeczkami. Niektóre z nich (a także drzewa!) mają nawet tabliczki z nazwiskami swych sponsorów! Na brzegach licznych oczek wodnych beztrudno przechadzają się kaczki krzyżówki i kanadyjskie gęsi – bernikle. Wśród gałęzi starego klonu dostrzegam nawet myszołowa szerokoskrzydłego, przedstawiciela tutejszych skrzydlatych drapieżników.

Mijamy budynek z 1881 r. w stylu kanadyjskiego cottage’u. Mieścił się w nim system pomp, tłoczących wodę z tutejszych ujęć do sieci zasilającej miasto. Działały one aż do 1967 r., kiedy do London doprowadzono wodociąg z ujęć w jeziorze Huron. Nieco dalej, próbując rozpoznać występujące tu gatunki roślin, w gęstwinie porastającej brzeg dostrzegam żółte kwiaty „naszego” wrotycza pospolitego. Został on zawleczony do Ameryki przez pierwszych osadników z Anglii zapewne już na samym początku XVII w. jako roślina ozdobna i o zastosowaniach medycznych. Dziś zaczyna być tu postrzegany jako gatunek niepożądany. Ponad kwiatostany wrotycza wznoszą się czerwono nabiegłe łodygi z dużymi, intensywnie różowymi kwiatami na długich szypułkach. To niecierpek balsamiczny, również przybysz – tyle, że z Himalajów. Podobnie jak w Polsce nabiera on tu roli groźnej rośliny inwazyjnej.

W drodze powrotnej dostrzegamy na brzegu rzeki charakterystyczną niebieską tablicę, jakimi w prowincji Ontario oznacza się obiekty i miejsca o znaczeniu historycznym. Ta charakteryzuje się umocowaną do jej podstawy kotwicą. Upamiętnia jedną z największych katastrof w historii kanadyjskiej żeglugi śródlądowej – a zapewne największą katastrofę „rzeczną”. Zdarzyła się ona w tym miejscu 24 maja 1881 r., w dzień 62. urodzin brytyjskiej królowej Wiktorii. Świętując wolny od pracy dzień mieszkańcy miasta wybrali się w rejs po rzece na pokładzie niewielkiego tylnokołowca o nazwie – nomen-omen! – „Victoria”. Na stateczek, który mógł zabrać maksymalnie 450 osób wsiadło ich ok. 650. Gdy większość z nich zgromadziła się nagle przy jednej burcie przeciążona jednostka przewróciła się. Śmierć w wodach Tamizy (znacznie głębszych niż obecnie) znalazły 182 osoby.

Po południu gościmy w domu naszych miłych przewodników. A potem jeszcze w domach innych mieszkających tu Polaków. Niby nad Tamizą, a czujemy się jak nad Wisłą...

Mirosław J. Barański

Kuks – gmina i wieś w dolinie Łaby w powiecie Trutnov w kraju Kralovohradeckim w Czechach (między Dvur Kralove, a Jaromeřem), znana z rzeźb Mateusza Bernarda Brauna zachowanych w barokowym zespole założonym przez hr. F. A. Šporka na przełomie XVII i XVIII w, a w ostatnich latach wspaniale odrestaurowanym.

Hr. František Antonín Špork, jako 22-letni młodzieniec po studiach, odziedziczył w 1684 r. ogromny majątek ziemski, który umożliwił mu realizację marzeń, a mianowicie budowy kurortu o europejskiej renomie. Wybrał wioskę w dolinie Łaby – Kuks i do 1695 r. na lewym brzegu rzeki wznosił obiekty rezydencyjno-uzdrowiskowe, a więc pałac, dom zdrojowy z łaźniami, bibliotekę, gościniec, teatr, tor wyścigowy (nad brzegiem rzeki obsadzony szeregiem wyciosanych w piaskowcu krasnali) itd. Obiekty te miały służyć bogatemu życiu towarzyskiemu. Prawdopodobnie uciekł się też do oszustwa, bo podobno przekupił komisję badającą właściwości miejscowych wód źródłanych, która stwierdziła ich lecznicze właściwości (późniejsze badania tych wód takich właściwości nigdy nie potwierdziły). W każdym razie dopiął swego, a woda z miejscowych źródeł spływała po monumentalnych kaskadowych schodach, zdobionych posągami trytonów, do fontanny z posągiem Polifema, z której przez pomysłowy mechanizm ukryty w plecach boga rzek rozlegała się muzyka.

W następnych latach (1706-1730) hrabia wznosił na prawym brzegu rzeki obiekty dające przeżycia duchowe oraz o charakterze charytatywnym, a mianowicie potężny kompleks klasztoru Braci Miłosierdzia (Bonifratrów) ze szpitalem dla ubogich i weteranów wojen oraz kościołem pw. Najświętszej Trójcy z kryptą grobową dla swojej rodziny.

Do realizacji tego założenia sprowadził wybitnych architektów i artystów epoki baroku, np. włoskiego architekta Giovanniego Battisty Alliprandiego oraz już uznaną sławę czeskiego baroku – rzeźbiarza Matthiasa Bernarda Brauna z jego 6-cio osobowym warsztatem. Dziełem tego rzeźbiarza z lat 1718-1720 – jest zespół 12 alegorycznych figur z piaskowca przed frontem dawnego klasztoru, wyrażających ludzkie cnoty i przywary (obecnie są to kopie, oryginały w lapidarium) oraz sceny biblijne rzeźbione w miejscowych skałach w pobliskim Nowym Lesie (Betlem).

Należy podkreślić, że hr. F.A. Špork żywo interesował się sztuką, napisał bądź przetłumaczył w ciągu życia ponad 150 książek i rozpraw o charakterze religijnym i filozoficznym, a w bibliotece w Kuks zgromadził ponad 40 tys. dzieł.

Kuks stało się ulubionym kurortem europejskiej szlachty, jednym z trzech w Europie, najpopularniejszych obok Akwizgranu i Baden-Baden.

Po śmierci hrabiego kompleks zaczął podupadać, spustoszenia dokonała także powódź w 1740 r., podczas której zniszczonych zostało wiele budowli.

W 1938 r. szpital został zlikwidowany, po czym służył organizacji Hitlerjugend jako dom poprawczy. Po 1945 r. działał tu szpital dla obłożnie chorych, jednak cały kompleks ulegał szybkiej degradacji i dewastacji. Dopiero po przemianach ustrojowych w Czechach, podjęto prace zabezpieczające, a w latach 2010-2015 gruntowną i kompleksową rewaloryzację dzięki środkom pozyskanym z UE – jej efekty są imponujące.

Szczególnie cenny jest barokowy kompleks na prawym brzegu Łaby, czyli dawnego zespołu klasztornego, a mianowicie dawny szpital – obecnie Czeskie Muzeum Farmacji oraz spinający dwa skrzydła szpitala – kamienny kościół p.w. Najświętszej Trójcy z kryptą grobową Šporków, a także Betlem, czyli czeskie Betlejem z rzeźbionymi w miejscowej skale scenami biblijnymi (w Nowym Lesie – w odległości ok. 3 km w kier. północno-zachodnim od muzeum – w stronę Dvur Kralove). Warto zwrócić uwagę przede wszystkim na płaskorzeźby Pokłon Pasterzy, Przybycie Trzech Króli, Studnię Jakuba itd.

Zwiedzając Kuks zdajemy sobie sprawę, że nieodłącznym elementem sztuki baroku jest medytacja nad marnością życia doczesnego, która podkreśla wyjątkową atmosferę tego miejsca. Osia całego kompleksu barokowego w Kuks jest rzeka Łaba, która oddziela część lewobrzeżną, czyli dawnego uzdrowiska, od części prawobrzeżnej, czyli zespołu dawnego szpitala (przytułku) prowadzonego przez Braci Miłosierdzia (Bonifratrów) z kościołem. Obie te części łączy kamienny most zalewowy.

Do części prawobrzeżnej należy też pobliskie Betlem (czeskie Betlejem), czyli unikalne rzeźby w miejscowej skale piaskowcowej.

Zwiedzanie: obecnie wyłącznie z miejscowym przewodnikiem – grupy są wpuszczane w odstępie 1 godz. każdego dnia oprócz poniedziałków, w godz. od 9 do 17. Przewodnik mówi po czesku, ale zrozumienie go nie wymaga większych talentów lingwistycznych.

W czasie zwiedzania zobaczymy m. in.:

Kamienny most zalewowy (inundacyjny) – prowadzący trasę komunikacyjną nad terenami zalewowymi Łaby – jest to most kamienny z końca XVII w. (1697 r.) z rzeźbą Chrystusa Zbawiciela oraz wzbogacony rzeźbami arlekinów. Łączy on barokowy kompleks uzdrowiska (pozostałości) oraz dawnego szpitala z kościołem oraz apteką.

Kościół p.w. Najświętszej Trójcy – spinający dwa skrzydła dawnego szpitala, został wzniesiony w latach 1707-1717, według projektu włoskiego architekta Giovanniego Battisty Alliprandiego. Jest to budowla z nieotynkowanych bloków miejscowego piaskowca, na planie wydłużonego ośmiokąta. Elewacja frontowa, o nieregularnie rozmieszczonych i oknach niejednolitych, jest bogato zdobiona rzeźbami – nad drzwiami widzimy Zwiastowanie Maryi Pannie w nadnaturalnej wielkości (z 1709 r.). W tympanonie natomiast umieszczono alegoryczną rzeźbę Wiary, a nieco niżej – także alegoryczne rzeźby Nadziei i Miłości.

Szczególnie ciekawa w tym kościele jest krypta grobowa rodziny Šporków z sarkofagiem zmarłego w 1738 r. fundatora – hr. Františka Antonína Šporka, mieszcząca także kolejne dzieło Brauna – ekspresyjny krucyfiks.

Czeskie Muzeum Farmacji – w budynku dawnego szpitala (przytułku) bonifratrów, zostało utworzone w 1972 r. po likwidacji szpitala dla ciężko chorych. Prezentuje farmację jako dziedzinę bardzo różnorodną, obejmującą badania naukowe, przemysł, kontrolę jakości, hurtownie farmaceutyczne, aptekarstwo oraz szkolnictwo, jak również jako dziedzinę o bardzo bogatej historii. W istocie jest placówką naukową Wydziału Farmacji w Hradec Kralove, który jest jednym z wydziałów Uniwersytetu Karola w Pradze.

Muzeum to nawiązuje do medycznych tradycji i uprzednich funkcji tego obiektu. Dla zwiedzających było udostępniane etapami – w 1996 r., 2001 r., oraz w stanie obecnym – w 2010 r. obejmując 6 pomieszczeń ekspozycyjnych.

Zwiedzający mogą sami popробować pracy farmaceuty, przygotowując różnego rodzaju pastylki i pigułki oraz czopki, a także polecić specyfiki zawierające takie składniki jak krew smoka, proszek z głowy kata czy z wątroby wilka!

Galerię win czeskich – w piwnicach północnego (lewego od wejścia) skrzydła dawnego szpitala. Jest to nowa ekspozycja przypominająca odwieczny, duchowy związek ludzkości z winem, jako „napojem bogów”, a jednocześnie wskazująca na świetne relacje hrabiego Šporka z winem, sztuką oraz wartościami duchowymi. Lokalizacja piwnicy win jest także symboliczna – z jednej strony dotyka kościoła Najświętszej Trójcy, a z drugiej strony – grobowca hrabiego. Galeria, to nie tylko ekspozycja produktów czeskiego i morawskiego winiarstwa, które możemy tu zakupić, ale także wystawa historycznych i artystycznych eksponatów, związanych z winem i nie tylko.

A ponadto: w czasie zwiedzania zobaczymy także kilka portretów fundatora całego założenia – hr. Františka Antonína Šporka oraz jego ojca Johannes, który w służbie cesarskiej dorobił się majątku, a także ryciny przedstawiające Kuks sprzed powodzi w 1740 r. Obecnie zobaczymy też 50 odrestaurowanych malowideł ściennych tworzących cykl „Taniec śmierci” – wyrażający równość ludzi w obliczu śmierci. Obrazy te wydobyto spod warstwy wapna w czasie ostatniej rewaloryzacji.

Warto też wiedzieć, że w Kuks w ciągu roku odbywa się wiele imprez kulturalnych, m.in. Noc Muzeów (22.05.), Noc Kościołów (29.05.), Weekend Otwartych Ogrodów (13-14.06.), cykl koncertów Muzyczne Lato Kuks, Winobranie (12.09.), Jarmarki Adwentowe i inne, ciekawe wydarzenia.

W części miejskiej Kuks – poza nielicznymi pozostałościami dawnego uzdrowiska, pasjonaci starych pojazdów mogą też odwiedzić **Muzeum Motoryzacji** – zobaczymy tu wiele historycznych pojazdów oraz ich akcesoriów.

Oprac. Janusz Szulc

Sobór Michajłowski

Sobór Michajłowski o Złoty Kopyłach w Kijowie ma bardzo stare dzieje. Książę Swiatopełk Iziasławycz, który na chrzcie otrzymał imię Michała, w 1108 r. wznosił na Górze Starokijowskiej na terenie monasteru św. Dymitra trójnawową świątynię i nazwał ją imieniem swego świętego patrona. Cerkiew otrzymała złotą kopułę, dlatego nazwano ją w narodzie *zlatowierchą*. W cerkwi pochowano księcia w 1114 r. Podczas najazdu Mongołów w 1240 r. monaster z cerkwią zostały zrujnowane. Odbudowano je dopiero w XVI w.

Hetman Bohdan Chmielnicki w XVII w. opłacił ponowne pozłocenie kopuły. Hetman Iwan Mazepa dobudował boczną kaplicę dla grobowca z prochami św. Barbary, zaś hetman Iwan Skoropadski w XVIII w. wyposażył świątynię w nowy *ikonostas*. W tym samym wieku dodano nad świątynią sześć kopuł, wzniesiono dzwonnice, budynek z celami dla zakonników, refektarz i kamienne ogrodzenie całego terenu. W XIX w. klasztor był jednym z największych, obok Peczerskiej Ławry, ośrodków prawosławia w Rosji. Należał do najbogatszych dzięki licznym nadaniom majątków ziemskich. W 1914 r. żyło w nim 240 zakonników.

Po zamknięciu klasztoru przez bolszewików w 1922 r. sobór popadał w ruinę. Elementy wewnętrznego wyposażenia soboru, a nawet mozaiki i freski przeniesiono do pobliskiego Sofijskiego Soboru i muzeów w Rosji. Budowla w latach 1934-36 została rozebrana, by zrobić miejsce dla nowych gmachów rządu Ukrainy Radzieckiej. Z powodu wojny nowe urzędy się tu nie pojawiły, poza wzniesionym obok monumentalnym gmachem, w którym dziś urzęduje Ministerstwo Spraw Zagranicznych Ukrainy.

Po wojnie pusty plac po soborze okolony był piętrowymi budynkami monasteru, w których miejsce pracy znalazło biuro projektów. Wykorzystywany był też refektarz, który ocalał.

W końcu lat 1990-tych władze Ukrainy podjęły decyzję o odbudowie, a właściwie budowie od fundamentów Soboru Michajłowskiego. Wznoszono go równoległe z innym ważnym zabytkiem sakralnym, a mianowicie Soborem Uspeńskim Peczerskiej Ławry. W 2000 r. Sobór Michajłowski został oddany do użytku wiernych Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej Patriarchatu Kijowskiego (Peczerska Ławra jest we władaniu Patriarchatu Moskiewskiego).

Dziś biało-niebieska świątynia ze złotymi kopułami, zamknięta za niebieskim murem, wraz z biało-żółtymi budynkami męskiego monasteru, stała się miejscem kultu oraz celem wielu pielgrzymek i wycieczek turystycznych. Na placu Michajłowskim przed wejściem do świątyni o każdej porze dnia można spotkać mnóstwo samochodów i autokarów z ludźmi z całej Ukrainy. Oglądają zrekonstruowany potrójny pomnik świętej Olgi, świętego Andrzeja Apostoła oraz świętych Cyryla i Metodego, po czym wchodzą do bramy w dzwonnicy, gdzie znajduje się mała cerkiewka Trzech Świętych Hierarchów (św. Bazylego Wielkiego, Grzegorza Teologa i Jana Złotoustego). Jest tu też nieduża ekspozycja przedstawiająca odbudowę soboru. Zwiedzający wchodzą następnie na wewnętrzny dziedzińiec klasztoru, a stąd do Soboru św. Michała Archaniola o Złoty Kopyłach, któremu przy rekonstrukcji nadano kształt z XVIII w. w stylu ukraińskiego baroku. We wnętrzu soboru znalazły się odzyskane z muzeów (z Ermitażu w Petersburgu i Galerii Tretiakowskiej w Moskwie) mozaiki i freski. Na terenie monasteru zwiedzającym udostępniono też cerkiew św. Jana Chryzostoma urządzoną w dawnym refektarzu zakonnym, który zachował się w pierwotnej postaci z 1713 r. Obok głównej świątyni można także obejrzeć zadaszone fragmenty starych fundamentów.



Janusz Fuksa

Miłośnicy zabytków w Muchowie

W dniach 27-29 maja 2016 r. członkowie Dolnośląskiego Towarzystwa Miłośników Zabytków gościli w Muchowie. Bazą wypadową był piękny pałac zbudowany na początku XX w. Niektórzy będą go kojarzyli z Centrum Edukacji Ekologicznej i Wulkanizmu. Jest to jak najbardziej prawidłowe. Obecnie prowadzone jest tu schronisko dysponujące kilkudziesięcioma miejscami noclegowymi, co w połączeniu z zadaszoną sceną oraz miejscem na ognisko, daje wspaniałe możliwości wypoczynku.

Tym razem miłośnicy zabytków postanowili poznać kilka obiektów położonych w najbliższej okolicy bazy noclegowej. Dlatego w sobotę wyruszyli do Świerzawy gdzie zwiedzili kościół św. Józefa. Świątynia ta położona w samym centrum miasta nie wygląda z zewnątrz zbyt ciekawie, zwłaszcza gdy przyjrzymy się odpadającym tynkom. Jednak jej wnętrze, mimo iż była ona dosyć długo nieużytkowana, wcale nie odstrasza. Oczywiście widać tutaj liczne zacieki na ścianach i sklepieniu, jednak dzięki wiernym stan kościoła nie jest taki zły. Najważniejsze, że parafianie starają się coś robić. Najlepszym tego przykładem jest wyposażenie świątyni. Część ławek oraz konfesjonały przywieziono ze Złotoryi, część z Francji. Wiele ławek ma numerki inwentarzowe świadczące o tym, że kiedyś były własnością Gminnego Ośrodka Kultury.



Sam obiekt z prostokątną nawą otoczoną emporami i wieloboczną absydą, w której widać piękne witraże, jest budowlą niezwykłą. Wszędzie widać ozdoby oraz umieszczone na pamiątkę nazwiska sponsorów, którzy wsparli finansowo jego budowę. Można tutaj wypatrzeć wiele niezwykłych obiektów, choćby stare organy. Ciekawostką jest fakt, że w okresie kiedy obiekt był opuszczony w zakrystii wyrosło sporych rozmiarów drzewo. Oczywiście dzisiaj już go nie ma. Największe jednak wrażenie robi sklepienie z żebrami wykonanymi z czerwonej cegły. Chociaż dla uczestników wycieczki najciekawszym a zarazem najbardziej tajemniczym obiektem, jeśli można go tak nazwać, była..., no właśnie nikt do końca nie jest pewien co to było? Na jednym ze słupów widach było coś na kształt siedzącego nietoperza. Część jednak oglądających twierdziła, że jest to po prostu pajęczyna.

Najbardziej znaną świątynią w Świerzawie jest niewątpliwie kościół św. Jana i Katarzyny. Dlatego też, mimo iż był on zwiedzany podczas jednego z poprzednich spotkań zajrzelśmy także tam. Na wewnętrznej stronie muru otaczającego świątynię umieszczono tablicę upamiętniającą dawnych mieszkańców miasta. Napisano na niej: „Uczcijmy pamięć zmarłych, których groby już nie istnieją. Oni stworzyli dobra, które nas otaczają. Byli i obecni mieszkańcy Świerzawy”.

Jak inną budowlą jest ruina romańskiego kościoła NMP w Nowym Kościele wszyscy mogli się przekonać gdy zobaczyli na własne oczy obiekt wzniesiony z kamienia, zapewne dawniej wyglądający niezwykle. Dzisiaj jednak pozostała tylko jego niewielka część. Niemniej i ona wywołała tak

wielki zachwyty, że każdy chciał pozostać tu jak najdłużej. Zwłaszcza, że całość obrośnięta wszechobecnym bluszczem sprawiała wrażenie jakby porozrzucane kamienie przykryto zieloną kołderką. Do tego okazało się, iż teren ten otoczony murem, wyposażono w bramę obronną, przy której zachowały się otwory strzelnicze. To właśnie przez nie rażono nacierającego nieprzyjaciela.

Miasto Złotoryja to miejsce gdzie przetrwało wiele ciekawych budowli. Ale chyba najbardziej od-

wiedzianym miejscem przez turystów jest Kopalnia Złota „Aurelia” pod Górą Św. Mikołaja. Założona w 1660 roku uważana jest za najstarszą w Polsce. Zwiedzającym, o tym, że wchodzimy do kopalni, wcale nie trzeba mówić. Już za drzwiami wejściowymi czuć chłód wiejący z mrocznego korytarza. A gdy tylko przejdzie się kilka metrów wilgoć i kapiąca z góry woda uświadomi wszystkim, że na pewno jesteśmy pod ziemią, i to 30 metrów. Korytarze są tu tak niskie, iż co chwilę słychać jak ktoś uderza kaskiem o skałę. Co rusz trzeba schylać głowę a czasami iść prawie na czworaka. Warto zatem założyć obuwie, które można bez żalu upaćkać w brunatnej mazi płynącej chodnikiem. Niestety jest ona nie do zmycia. A złota w niej także nie znajdziemy.

W sobotę 28 maja 2016 r. w Złotoryi zorganizowano grę terenową. Zajęli się tym pracownicy biblioteki. Co chwilę przechodziły drużyny biorące w niej udział. Obecny burmistrz Złotoryi, pan Robert Pawłowski, odpowiadał na wszystkie pytania.

Po pobycie w kopalni najważniejszym było szybkie ogrzanie wychłodzonego ciała. Można oczywiście było napić się gorącej kawy ale można było wejść krętymi schodami na wieżę kościoła by na tarasie widokowym wystawić się na ciepło promieni słonecznych. I to rozwiązanie okazało się najlepsze. A przy okazji można było obejrzeć rozległą panoramę i przyjrzeć się staremu dzwonowi, zajrzeć do komnaty siedmiu śpiących czy dowiedzieć się jak działała biblioteka łańcuchowa.

Jak się wkrótce okazało był jeszcze trzeci sposób ogrzania. Najodważniejsze panie udały się na strzelnicę i ustrzeliły piękne nagrody.

Komu brakowało emocji jakie przeżyli w kopalni złota mogli odwiedzić Muzeum Złota gdzie zgromadzono bogatą kolekcję minerałów. Oczywiście złota było tam co kot napłakał.

W niedzielę wreszcie wyszło słońce i zrobiło się naprawdę ciepło. Pozwoliło to na spacer po Jaworze. Oczywiście zwiedzanie rozpoczęło od wizyty



w Muzeum Regionalnym gdzie po obejrzeniu zgromadzonych tam zbiorów można było napić się kawy w pomieszczeniu wyposażonym w oryginalne meble i urządzenia. Następnie odwiedzono miejsce, które do dnia dzisiejszego jest owiane złą sławą. Jest to zamek, w którym od setek lat było więzienie. Najsmutniejsze jednak nie jest to, że więziono tam ludzi przed i podczas II wojny światowej, lecz to, że czyniono tak już po wojnie. Nie ma bowiem nic bardziej niezrozumiałego, gdy przedstawiciele władz gnębią swoich obywateli. A tutaj tak właśnie było.



Jawor to oczywiście Kościół Pokoju, jeden z trzech jakie wzniesiono. Drugi znajduje się w Świdnicy. Niestety ten z Głogowa nie doczekał naszych czasów. Ma to związek z faktem, że kościoły te pozwolono zbudować pod pewnymi warunkami. Jednym z nich było użycie nietrwałego budulca (piasku, drewna, słomy, gliny). Dzisiaj fakt, iż dwie świątynie przetrwały graniczy z cudem. Aby piękno tu zgromadzone wciąż mogło cieszyć nasze oczy koniecznym jest wydawanie coraz większych sum na ich konserwację. I właśnie od pozyskanych finansów zależy dalszy los tych zabytków.

Tutaj także powojenna historia odcisnęła swoje piętno. Pewnego dnia na przyległy cmentarz wjechały spychy i po prostu zrównały groby z ziemią. Dlatego gdy czasami zachodzi konieczność dokonania prac ziemnych zawsze musimy być przygotowani na odsłonięcie kości ludzkich. Aby upamiętnić tych, którzy spoczęli w tym miejscu ustawiono kamienną tablicę ze stosownym napisem.

Po tak intensywnym zwiedzaniu członkowie Dolnośląskiego Towarzystwa Miłośników Zabytków mogli już tylko udać się w drogę powrotną do swoich domów. Większość jednak z nich gdzieś jeszcze zblądziła. Nastąpiło to oczywiście po wizycie w jaworskim ratuszu gdzie podziwiano piękne witraże w Sali Rajców.

Miałem o tym nie wspominać ale co tam. W historii Jawora jest pewne ciekawe wydarzenie. Otóż okazuje się, że w Jaworze produkowano prawdziwe pierniki. Wyrabiano je z mąki pszennej i syropu miodowo-cukrowego. Pierniki te o rozmiarach dochodzących do pół metra sprzedawano w całej Europie i wysyłano do Ameryki. Oczywiście kłóci się to z wizerunkiem piernika toruńskiego.

Grupa z Jeleniej Góry udała się jeszcze w stronę Marciszowa by odpocząć przy Kolorowych Jeziorkach. Nikt jednak nie spodziewał się, że słoneczny dzień zwabi tam setki jeśli nie tysiące turystów. Tłok był wielki. Jednak piękno tego miejsca warte było poświęcenia kilku godzin. Tym bardziej, że spotkaliśmy tam powracających z wycieczki uczestników Rajdu na Raty.

Krzysztof Tęcza



Noc Muzeów w Jagniątkowie i na Chojniku

W roku 2016 w ramach Nocy Muzeów w Jagniątkowie przygotowano na tyle bogaty program, że chętnych do wzięcia udziału w poszczególnych jego częściach było tak dużo, że nie mieścili się w salach, w których prowadzono wykłady. Oczywiście przez cały dzień Muzeum było udostępniane za darmo. Dla spragnionych większej aktywności fizycznej przygotowano „Spacer z Hauptmannem” po Jagniątkowie. Turyistów oprowadzały Annette Hesp i Ida Baj.

Bardzo dużym zainteresowaniem cieszyły się dyskusja i warsztaty na temat wartości i roli prozy we współczesnym świecie połączone z prezentacją tomiku opowiadań „Swoi i obcy” prowadzone przez Stowarzyszenie Literackie „W Cieniu Lipy Czarnoleskiej”.

O godz. 18 otwarto wystawę „Schroniska Turystyczne Karkonoszy i Gór Izerskich w Polsce oraz w Czechach”, która wcześniej była prezentowana w budynku jeleniogórskiego Archiwum Państwowego oraz w pałacu w Bukowcu podczas sympozjum pt. „Turystyczne wykorzystanie Karkonoszy”. Ivo Łaborewicz, który podczas wspomnianego sympozjum opowiedział o historii owych schronisk, tym razem mając więcej czasu, rozwinął ów temat i przybyli na jego wykład mogli dowiedzieć się o wiele więcej. Trzeba przyznać, że jego wykład ściągnął do Jagniątkowa tak wielu słuchaczy, że aż miło było dowiedzieć się, iż zainteresowanie historią rozwoju bazy noclegowej w naszych górach jest tak duże.

O godz. 19 piszący te słowa rozpoczął „Gawędę górską” mającą na celu uzmysłowienie przybyłym turystom jak zmienia się krajobraz górski. Oczywiście opowieść została zawężona do Karkonoszy i Gór Izerskich. Najważniejszym jednak było poruszenie zmian duchowych jakie zachodzą w miłośnikach górskich wędrowek. Nie każdy bowiem zdaje sobie sprawę z tego, że przeżycia doznane w górach, nieważne: miłe, straszne, ciekawe; mają bezpośredni wpływ na nasze dalsze życie. Najczęściej ludzie nie kojarzą faktów i zmiany w swoim charakterze tłumaczą w różny sposób, nie biorąc pod uwagę, że były one spowodowane właśnie jakimś konkretnym wydarzeniem przeżytym podczas górskiej wędrowki.

Punktem kulminacyjnym Nocy Muzeów w Jagniątkowie była zaplanowana wycieczka piesza na zamek Chojnik. Okazało się, że na ten punkt programu czekało wiele osób. Przybyły całe rodziny. Ponieważ na zamku pierwszym wydarzeniem miał być koncert zespołu Castle Dreams czyli duetu grającego na elektrycznych skrzypcach i gitarze, musieliśmy spieszyć się by posłuchać pięknej muzyki rockowej. Jak się później okazało warto



Noc Muzeów w Jagniątkowie. Fot. Elżbieta Szajder





Koncert zespołu Castle Dreams

z latarek. Schodzący z góry tak pięknie oświetlali drogę, że widać było cały czas jak wiję się ona wśród drzew.

Na Chojniku czekali na przybyłych kapitan Jędrzek oraz członkowie Gildii Przewodników Sudeckich, którzy co rusz zaskakiwali turystów pojawiając się w najmniej oczekiwanych miejscach, najczęściej jakichś zakamarkach. Większość przybyłych skupiła się przy ognisku, które płonęło do białego rana, jednak co chwilę niektórzy wyruszali by wdrapać się na wieżę i rozkoszować się widokiem Kotliny Jeleniogórskiej. Ci, którzy nigdy nie widzieli Jeleniej Góry nocą (z wieży zamkowej) w zasadzie nie znają jej piękna. Nocą bowiem, nawet przy lekkiej mgiełce, widać kolorowe wstęgi głównych arterii miejskich jak i bardziej uczęszczanych ulic. Są one nie tylko biało-czerwone, w zależności od której strony jadą samochody ale także widać na nich lekko żółte linie świecących latarni. Cała Kotlina Jeleniogórska w nocy przedstawia tak wspaniały obraz, że mimo wiejącego na wieży wiatru zawsze miłośnicy piękna marzną by jak najdłużej cieszyć się tym widokiem.

Myślę, że wspólne przeżywanie w tym roku imprez zorganizowanych przez Muzeum Miejskie „Dom Gerharta Hauptmanna” w Jagniątkowie i zamek Chojnik było znakomitym pomysłem.

Tekst i foto: Krzysztof Tęcza



Camping nr 42 PTTK
48-385 Otmuchów, ul. Plażowa 6
tel. 077/431-52-25
www.camping-otmuchow.pl
e-mail: camping.otmuchow@wp.pl

Kresy Wschodnie na Kresach Zachodnich

Po unii lubelskiej w 1569 roku Rzeczpospolita Obojga Narodów liczyła ponad 8 mln mieszkańców. Jej terytorium (wraz z obszarami lennymi) zajmowało ponad 800 tys. km², rozciągając się od Odry aż po Dniepr.

Dokumentację tego, co po niej przetrwało można oglądać na wystawie Jolanty Stopki pt. „Twierdze i pałace Rzeczpospolitej Obojga Narodów”. Otwarcie ekspozycji miało miejsce w pałacu w Bukowcu w dniu 13.05.2016 o godz. 17.00.

Na wystawie autorka przedstawiła pozostałości rezydencji, twierdz, zamków i pałaców wzniesionych przez narody zamieszkujące Rzeczpospolitą Obojga Narodów. Oglądając fotografie zrobione przez J. Stopkę, możemy odbyć sentymentalną podróż z Kresów Zachodnich na Kresy Wschodnie – do Nieświeży, Lwowa czy Kamieńca Podolskiego. Ekspozycję prezentowano już wcześniej m.in. w Galerii Łużyckiej w Lubaniu, w Pałacu Sztuki Krakowie i na Ukrainie, gdzie także wzbudziła duże zainteresowanie. W pałacu w Bukowcu wystawa jest czynna do końca czerwca br.

Zbigniew Piepiora



Wojewódzki XLIV Ogólnopolski Konkurs Turystyczno-Krajoznawczy w Świeradowie Zdroju 14-15.05.2016 r.

Organizatorem przedsięwzięcia była Rada Porozumienia Oddziałów PTTK Województwa Dolnośląskiego, Oddział Łużycki PTSM w Lubaniu i Miejski Zespół Szkół w Świeradowie Zdroju. Wysoki poziom finałowego konkursu prezentowany przez młodzież był realizowany ze środków Urzędu Miasta Świeradów Zdrój, Starostwa Powiatowego w Lwówku Śląskim i Lubaniu oraz Nadleśnictwa Świeradów Zdrój. Bazę imprezy stanowił Miejski Zespół Szkół w Świeradowie Zdroju. Patronat honorowy nad turniejem objął Roland Marciniak – Burmistrz Miasta Świeradów Zdrój. Wszystkich w sekretariacie uroczym uśmiechem witała Magdalena Predko. Na jej ręce złożono dokumentację uprawnień i odznak turystycznych i wykonane przez uczestników karty do kroniki. Po uroczystym otwarciu w dniu 14.05 br., na którym przywitała wszystkich uczestników (łącznie 22 drużyny z Dolnego Śląska) kierownik turnieju Teresa Fierkowicz, głos zabrali przedstawiciele władz samorządowych. Sędzia główny (członek Rady Porozumienia Oddziałów PTTK) Wojciech Król, który przedstawił sędziów poszczególnych konkurencji: Mieczysław Jozefowicz, Aleksander Oświęcimski, Izabela Salawa, Sławomir Sobieski, Krzysztof Walusiak, Bartosz Kijowski, Adam Polbow, Paweł Idzik (PINO), Małgorzata Desput, Radosław Iwaniec, Paweł Jończyk oraz pracowników Nadleśnictwa Świeradów Zdrój a także wolontariuszy: nauczycieli, obsługę i uczniów MZS. Przedstawiono uczestników. Poszczególne oddziały PTTK reprezentowane były przez zwycięzców eliminacji międzypowiatowych, powiatowych, oddziałowych; w kategorii szkół podstawowych – 8 drużyn, w kat. szkół gimnazjalnych – 8 drużyn, a w kat. szkół ponadgimnazjalnych – 6 drużyn. Drużyny przystąpiły do rywalizacji turniejowej. W pierwszym dniu 3 osobowe zespoły musiały się uporać w 90 minut z testem wiedzy (100 pytań), cyklem zadań z tzw. Turystycznego ABC, na które składało się rozpoznawanie atrakcji turystycznych i zabytków: 15 obiektów z Dolnego Śląska i 5 z terenu województwa śląskiego. Z kolei rozpoznawanie roślin przeprowadzili pracownicy Nadleśnictwa. Ciekawymi konkurencjami były: mierzenie azymutów i odległości w terenie oraz tor przeszkód polegający na przejściu po linach rozwieszonych pomiędzy drzewami. Drużyny zaprezentowały swoje praktyczne umiejętności z ratownictwa przedmedycznego w konkurencji „Samarytanka” i zmagaly się z rowerowym torem przeszkód, gdzie zawodnik wyłoniony w losowaniu musiał uporać się z naprawieniem usterki. Zmagania turniejowe trwały z przerwą obiadową przez cały dzień i były bardzo wyczerpujące. Już na wstępie ujawnili się faworyci; gospodarze – Szkolne Koło Krajoznawczo-Turystyczne „Świeradowskie Orły” i Międzyszkolne Koło Krajoznawczo-Turystyczne „Tramp” z Bogatyni – zdobywcy III miejsca w finale ogólnopolskim w 2015 r. W drugim dniu drużyny wystartowały w Turystycznym Marszu na Orientację zmagając się nie tylko z trudnościami trasy ale i z przenikliwym zimnem i „majowym śniegiem”.

Poszczególne sukcesy indywidualne przedstawiały się następująco:

Ocena odznak i uprawnień turystycznych: I miejsce Konrada Jaskuła (ToTuToTam – MDK Świdnica) – 85 pkt., Patryk Olkowski (MZS Świeradów Zdr.) – 22 pkt., Michał Leński (MKKT „Tramp” Bogatynia) 20 pkt.

Pierwsza pomoc: Łucja Domańska, Paula



Domańska, Antonina Horczak (Gimnazjum w Jeleniej Górze) – 30 pkt. Rower: Rafał Legeżyński (PSP Opolno) – 20 pkt. Konkurs wiedzy szkół podstawowych: I miejsce: Wojciech Półtora (MZS Świeradów Zdr.) – 66 pkt., II m. Michał Stanisław – Podgórski (SP1 Piechowice) oraz Honorata Król (SP Lwówek Śląski) – 58 pkt. Konkurs wiedzy gimnazjum: I miejsce Bartosz Zasadzki (MKKT „Tramp” Bogatynia) – 63 pkt. II miejsce Aleksander Sergiejczuk (MZS Świeradów Zdr.) – 59 pkt.

Konkurs wiedzy szkół ponadgimnazjalnych: Michał Leński (MKKT „Tramp” Bogatynia) – 66 pkt. II miejsce: Oskar Adamski (MKKT „Tramp” Bogatynia). Rozpoznawanie roślin: I miejsce Łucja Domańska, Paula Domańska, Antonina Horczak (Gimnazjum w Jeleniej Górze), II miejsce Michał Stanisław-Podgórski, Bartosz Stanisław-Podgórski, Daniel Wylegała (SP 1 w Piechowicach), III miejsce Konrad Jaskuła, Natalia Józefiak, Piotr Kowalski („ToTuToTam” MDK Świdnica), oraz Wojciech Dierżyc, Helena Kubis, Laura Mól (Gimnazjum we Lwówku). Rozpoznawanie zabytków: I miejsce Honorata Król, Adam Tomczyk, Natalia Wilczak (SP 3 Lwówek), II miejsce Michał Stanisław-Podgórski, Bartosz Stanisław-Podgórski, Daniel Wylegała (SP 1 w Piechowicach).

Najmłodszy uczestnicy finału to: Kacper Ćwikiel z Opolna, Radosław Natanek (Gimnazjum nr 2 Świdnica) i Sylwia Sołtysiak z Wałbrzycha.

Klasyfikacja Generalna:

Szkoły Podstawowe:

1. MDK Koło PTTK „ToTuToTam” w Świdnicy gr. A – 382.52 pkt
2. MZS Sp nr 1 w Świeradowie Zdroju – 370.85
3. PSP im. PCK w Opolnie Zdroju – 324.20
4. MDK Koło PTTK „ToTuToTam” w Świdnicy gr. A – 297.63 (dr. poza konkursem)
5. Sp nr 1 w Miechowicach – 285.15
6. PSP w Rzęsinach – 274.40
7. SP nr 3 w Lwówku Śląskim – 271.92
8. Sp nr 90 we Wrocławiu – 264.70

Szkoły Gimnazjalne:

1. MZS w Świeradowie Zdroju – 424,50 pkt
2. MKKT „Tramp” w Bogatyni – 415,90
3. SKKT „Złoty Plecak” w Wałbrzychu – 370,60
4. SGZS w Miłkowicach – 370,00
5. Gimnazjum w Lwówku Śląskim – 346,80
6. Gimnazjum nr 2 w Świdnicy – 331,00
7. Gimnazjum nr 49 we Wrocławiu – 327,40
8. Gimnazjum w ZSO nr 1 w Jeleniej Górze – 298,20

Szkoły Ponadgimnazjalne:

1. MKKT „Tramp” w Bogatyni – 447,60 pkt
2. I LO w Jeleniej Górze – 397,40
3. X LO we Wrocławiu – 350,10
4. III LO w Świdnicy – 295,40
5. Zespół Szkół w Polkowicach – 247,80
6. Zespół Szkół nr 7 w Wałbrzychu – 168,20

Wszystkie drużyny otrzymały wiele pamiątkowych gadżetów i materiałów turystycznych. Zwycięzcy wyjechali ze Świeradowa z okolicznościowymi pucharami i atrakcyjnymi nagrodami rzeczowymi (plecaki, karimaty, śpiwory, sakwy itp.)

„Bardzo dziękujemy gospodarzom za wspianą organizację i wiele atrakcji. Jako debiutanci, do Rybnika jedziemy po naukę i doświadczenie, lecz czy na pewno nie jesteśmy bez szans. Będziemy godnie reprezentowali nasze województwo” – o czym donosi opiekun Koła „ToTuToTam” z MDK Świdnica

Zbigniew Curyl

Jubileusz V-lecia GGT „Kornuty”

10 kwietnia 2011 r. spotkaliśmy się po raz pierwszy, by razem przejść spacerkiem odcinek od Mecheliniek do Rewy i z powrotem. Całe 6 kilometrów! Wiatr zaciął mocno, co dawało radość wszystkim kite'owcom, którzy w Rewie założyli swoją bazę. Przyglądaliśmy się z podziwem ich akrobacjom na wodzie i w powietrzu. Obecność morza pozwalała oddychać pełną piersią wraz z potrzebnym sodem i jodem. Spodobało nam się wędrowanie po piasku. Umówiliśmy się za tydzień w tym samym sześciuosobowym składzie. Znowu gdzieś nad zatoką, tym razem na dłuższy dystans. Nie trwało długo, gdy ktoś rzucił hasło: „od granicy z Rosją do granicy z Niemcami”. Chwyliła nas wszystkich przemożna chęć, by zrealizować projekt wędrowki wzdłuż całego polskiego wybrzeża. Ruszyliśmy z Piasków. Latem moczyliśmy nogi podczas trasy, bo były tak zapchane niektóre odcinki plaży, że tylko w taki sposób można było posuwać się do przodu. Rekordowo tłocznie było chyba w Dębkach i Karwi. Nie były to nasze klimaty. O wiele sympatyczniej było jesienią i zimą, gdy zamrożony piasek nadawał się dobrze do deptania po nim na coraz dłuższych odcinkach. Rekord padł w Sarbinowie, gdzie oprócz 33 kilometrów w nogach, w ręce wpadł mi całkiem pokaźny bursztyn. Do dziś mam pamiątkowy naszyjnik. W obrębie naszego województwa wycieczki robiliśmy tylko w niedziele. Potem musieliśmy dołożyć sobotę i nocleg na trasie. Wreszcie przyszły takie odległości od domu, że musieliśmy organizować kilkudniowe wypady. Do granicy z Niemcami dotarliśmy po upływie prawie roku. Rozpędziliśmy się tak na zachodzie, że zaliczyliśmy jeszcze Uznam, przepiękną Rugię, wyspę bez samochodów – Hiddensee oraz Park Narodowy Mierzei Pomorza Przedniego. Wtedy wróciliśmy jeszcze raz na wschód i przeszliśmy rosyjską część Mierzei Kurowskiej. Idąc wzdłuż linii brzegowej Bałtyku musieliśmy pominąć tylko ok. 2-kilometryowy odcinek w Juracie należący do rezydencji



Kornuty wokół głazu

prezydenta RP. Pisałam prośbę do kancelarii prezydenta o pozwolenie przejścia tego miejsca, ale nigdy nie dostałam odpowiedzi. Zgodę dostaliśmy natomiast od wojska na przejście poligonu w okolicy Jarosławia. Mogliśmy to zrobić tylko w określonym dniu i określonych godzinach. Przepustkę dostaliśmy akurat w święto Trzech Króli, gdy nad morzem szalał taki sztorm, że plaża była cała pod wodą. Szliśmy 25 kilometrów po podmywanym klifie nie oglądając się za siebie, bo dziwne dźwięki straszyły nas od strony lądu.

Każdy odcinek wybrzeża był inny i nie jest przesadą powiedzenie, że nad morzem nic się nie powtarza. To była prawdziwa frajda. Podczas którejś z wycieczek znaleźliśmy nazwę dla naszego nieformalnego stowarzyszenia. Powstała Geriatryczna Grupa Turystyczna „Kornuty” (nazwa własna rezerwatu w Beskidzie Niskim, który szczególnie zapadł w naszej pamięci). Z sześciu osób stopniowo rozrosliśmy się do 16. Są to mieszkańcy Trójmiasta i Tczewa. Chodzenie w weekendy weszło nam w krew i już nie potrafimy inaczej.


Po wycieczkach nadmorskich przyszedł czas na inne trasy. Postanowiliśmy przejść wszystkie szlaki znakowane województwa pomorskiego. Jest ich około 3200 kilometrów. W tej chwili mamy za sobą około 2 tysiące km. Czasami jednak odrywamy się od wyznaczonego porządku i ruszamy np. na Szlak Kopernikowski. Ma on prawie 400 kilometrów i biegnie w trzech województwach od Olsztyna,



Kornuty – 40 000 km w Inowrocławiu

przez Lidzbark Warmiński, Braniewo, Frombork, Elbląg, Malbork do Grudziądza. Chcąc uczcić wielkiego polskiego astronoma przeszliśmy już całość szlaku, choć często musieliśmy patrzeć dobrze pod nogi zamiast spoglądać w niebo. Wynikało to ze słabego oznakowania i strasznych chaszczy na drodze. Wytoczyliśmy też własny szlak wokół Zalewu Wiślanego. Wędrowanie stało się naszą pasją i miłością. Dzięki niemu nauczyliśmy się być ze sobą, podziwiać piękno świata, poznawać nowe miejsca i ich historię, uwrażliwiać na przyrodę i zawzięcie dyskutować. Piątego kwietnia br. obchodziliśmy piątą rocznicę naszej wspólnej drogi. Jak zwykle uczciliśmy to rajdem idąc z Gorzędzieja do Śliwin (okolice Tczewa), gdzie w sadach naszych przyjaciół odsłoniлиśmy pamiątkową tablicę. Zrobiliśmy podsumowanie naszych osiągnięć. Okazało się, że najlepszy z nas ma już na koncie 9664 kilometry. Razem zaś, sumując nasze drogi łącznie, przekroczyliśmy niedawno 40 000 kilometrów. Miało to miejsce w Inowrocławiu pod tężniami. Dotarliśmy tam realizując kanon krajoznawczy Polski, do czego namówił nas mój kuzyn Andrzej z Wrocławia, który redaguje „Na Szlaku”.

Maria Chróścicka



**Oferta wydawnictw
turystyczno-krajoznawczych
wydanych przez
Oddział Wrocławski PTTK**

Z pogranicza ekologii, fizjologii, gastrologii i poradnictwa

Wielka majówka z pamperssem

Dzisiaj trochę inaczej – nie o lawinach i odpadaniu ze ściany. Nie da się pominąć milczeniem drocznego „czynu społecznego” turystów w polskich górach. Młodszym wyjaśniam, co to „czyn społeczny”. To takie pospolite ruszenie, w dawnych czasach związane z nieodpłatnym wykonywaniem różnych czynności i zadań, które powinny być realizowane siłami administracji, państwa, przedsiębiorstw – np. budowa dróg, boisk, czy sadzenie lasu. To było kiedyś. Teraz to pospolite ruszenie w okolicach 1 i 3 maja jest ukierunkowane na rajdy, zloty, złazy, grillowanie, wycieczki, wyprawy, wypadki i tym podobne przedsięwzięcia. Naród ruszył także w góry, te większe i te mniejsze, tradycyjnie zakorkował „zakopiankę”, zapełnił parkingi, pensjonaty, hotele i górskie schroniska oraz górskie szlaki i „szlaki”. Dlaczego „szlaki”? Ponieważ niektóre drogi, często wybrukowane, wyłożone trylinką, polbrukiem, czy wręcz asfaltowe mimo że biegnące wysoko w górach trudno zaliczać do górskich szlaków turystycznych. Ruch pieszych na tych drogach też trudno nazwać turystyką górską, no chyba że każde opuszczenie miejsca zamieszkania niezwiązane z pracą zarobkową zaliczymy do działań turystycznych.

Tłumy w górach źle służą przyrodzie, otoczeniu schronisk, miejsc odpoczynku i samym górskim ścieżkom. Po „wielkiej majówce” zostają tony śmieci. Ludzie wciąż nie wierzą, że skoro wnieśli do góry butelki i kartony z napojami, kanapki w folii, różne wafelki, batony i chrupki, to puste opakowania też mogą znieść i wyrzucić je gdzieś na dole do publicznego kosza, czy śmietnika. To zjawisko było i jest dla mnie całkowicie niezrozumiałe.

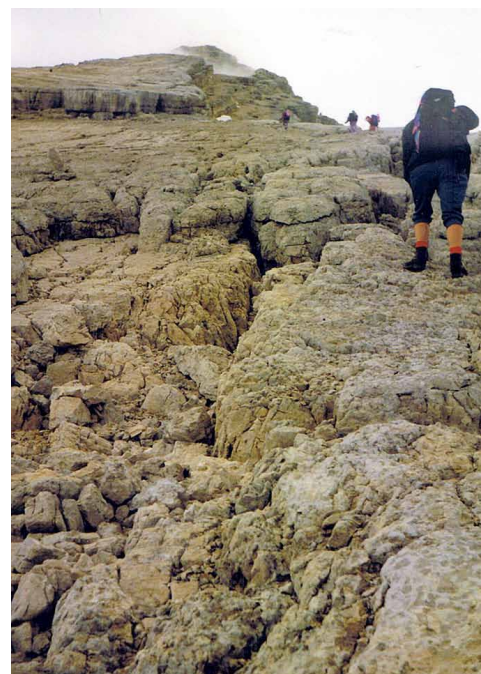
Reporter ogólnopolskiego portalu informacyjnego donosi o fatalnych efektach „wielkomajówkowej” inwazji na Śnieżkę. Całości obrazu dopełniają internauci, którzy byli w tym czasie w Karkonoszach i widzieli na własne oczy, co się tam działo. Jest to obraz przygnębiający. Na Śnieżkę waliły tłumy, jakby była to jedyna góra w promieniu 200 kilometrów, miejsce kultu i obrzędów. Trudno było dostrzec w tym tłumie turystów górskich, gros stanowiły rodziny z dziećmi w wieku przeróżnym biegające po śliskich kamieniach poza szlakiem, ludzie w przysłowiowych trampkach, w ubiorach dobrych na uzdrowską promenadę, nie zaś w góry. Ale to ich rzecz, pastwił się nie będę. Problem stanowią wspomniane śmieci i „produkty spalania” ludzkich organizmów. Ów problem będzie narastał wraz ze wzrostem codziennego ruchu pieszych w pobliżu Śnieżki ponieważ zamknięto toalety w dolnym spodku budowli na szczycie – celowo nie używam pojęcia „schroniska”. Do dyspozycji pozostały toalety w schronisku Śląski Dom na Równi pod Śnieżką i WC w górnej stacji kolejki po stronie czeskiej. Czy te dwa przybytki wytrzymają napór i „napór” tysięcy ludzi? Niektórzy postulują postawienie toi-toi. No nie, to już zgroza. Kiedy szedłem ostatnio Doliną



Trudno się ukryć na połoninie

Kościeliską zobaczyłem ku mojemu zdziwieniu rząd tych budek (fakt – zielone były, niemal „eko”) i ruch przy nich niczym przy mrowisku. O zapachu nie wspomnę, można sobie wyobrazić. Czy tak mają wyglądać nasze góry? Inne wspomnienie – śmietnik na Zawracie. Stał tam, czy dalej stoi nie wiem, siną barwą malowany plastikowy „kibel” metrowej wysokości, wypełniony po brzegi wszelkim śmieciem. Pod tym śmietnikiem przyzma odpadków zalegających na ścieżce, że trzeba było omijać to miejsce poza szlakiem, śmieci które już się nie mieściły na wierzchu. Jest regułą, że wszędzie tam, gdzie są kosze i większe pojemniki na śmieci jest wokół dodatkowe śmietnisko. Nie widziałem w polskich górach i na szlakach nizinnych żadnego tzw. miejsca odpoczynku z koszem, gdzie byłoby czysto. Jest to powszechne zjawisko. Widziałem i zaraz będzie rada dla gospodarzy terenu (wszak to poradnik) miejsca odpoczynku w Alpach (ławeczki, nawet ze stolikami) bez koszy na śmieci. Nie widziałem tam nawet najmniejszego papierka po cukierku właśnie dlatego, że nie było tam śmietników. Zatem (tu rada) należy **ZLIKWIDOWAĆ WSZYSTKIE KOSZE I ŚMIETNIKI NA SZLAKACH I MIEJSCACH ODPOCZYNKOWYCH**, nie stawiać żadnych toi-toi, skłonić ludzi do korzystania z toalet stałych w schroniskach. Sytuacja jest identyczna, jak z drogami, samochodami i parkingami. Im szersze drogi tym większy ruch, tym coraz większe parkingi i coraz większe narzekanie na brak miejsca do parkowania. Im więcej koszy, śmietników i tymczasowych toalet, tym więcej śmieci, pampersów i podpasek walających się po krzakach. Źle to brzmi? Źle, ale to prawda. No tak, powiedzą, mądrała z niego, a przecież defekować trzeba.

Ano trzeba, ale można też wychodząc z kwatery, schroniska, hotelu wziąć pod uwagę również takie przyziemne (czasem dosłownie) okoliczności: gdzie odpocznę, gdzie kupię coś do picia, gdzie zjem, gdzie skorzystam z WC. Może trzeba sobie wyobrazić, że takiej „toaletowej” możliwości po prostu nie będzie. Dla przykładu, jak to wygląda w takich Dolomitach na całodniowej wycieczce w terenie pozbawionym infrastruktury. Z rana 2 lub ponad 2 godzinne dojście do *via ferraty*, potem 3–4 godziny na *ferracie* w skale, potem 3 godzinny powrót na kwaterę, kemping, do obozowiska. Pierwszy etap najczęściej wiedzie mocno „zaludnionym” szlakiem z jakiegoś miasteczka, często po szutrowej drodze, zrazu trochę przez las, wyżej najczęściej w terenie bezleśnym. Potem piętro łąk z nielicznymi krzewami i pojedynczymi skałkami, jeszcze wyżej piętro skalne, choć jeszcze po łatwej ścieżce i dochodzimy do *via ferraty*. Na takim szlaku czynności fizjologiczne właściwie nie są możliwe do wykonania. Wcześniej, gdy idzie się szlakiem wśród ludzi, w odkrytym terenie znalezienie miejsca do wykonania tzw. wstydliwych czynności to nie lada wyczyn. Ponieważ ścieżki wiją się zakosami właściwie jest się widocznym niemal z każdego miejsca, gdzie są ludzie. Pół biedy gdy trzeba coś zrobić „na cienko” gorzej z akcją „na grubo”. W sytuacji „naporu” pozostaje nadzieja na szybkie dojście do najbliższego schroniska, o ile takowe występuje na trasie wycieczki. Wniosek: także pod takim kątem trzeba planować wyjście w góry. Zresztą nie trzeba sięgać do przykładu z Dolomitów, wystarczy przywołać obraz tradycyjnego „ludzkiego węża” posuwającego się codziennie w kierunku szczytu Giewontu. Od Kondratowej wszyscy są „na widelcu”, mimo to ten i ów opuszcza „węża” w celach „toaletowych”, jak przypuszczam. Chyba nikt nie czuje się komfortowo, ani wyskakujący na bok delikwent, ani przypadkowi świadkowie, bo nie da się uniknąć wzroku pozostałych „elementów węża”. W piętrze leśnym i kosodrzewiny turysta jakoś się ukryje, choć nie zawsze sprzyja temu roślinność i ukształtowanie terenu. Do tego mogą dojść niekorzystne zjawiska atmosferyczne, choćby deszcz. Weźmy taką bieszczadzką połoninę. Owszem, można się skryć w metrowej trawie, gdy sucho, ale w deszczu? Po wyjściu z jakiegoś gąszcza lub z trawy wygląd turysty jest wtedy żaloszny, a odzienie całkiem mokre. To są niby drobiazgi, ale mogą uprzykrzać i zakłócać wędrowkę, wprowadzać niepożądany stres, powodować dyskomfort. Warto zatem przy planowaniu wędrowki uwzględnić i takie okoliczności.



Gołe skalne zbocze – turysta „na widelcu”.

Mieczysław Zaręba – Mike (15 V 1920 – 31 VII 2012)

W dniu 17 września 2006 r. gośćmi Studia Globtroter (audycja Radia Kraków) byli Mieczysław Zaręba – wspinacz wysokogórski, andynista – i jego wnuczka Maria Isabel Zaręba. Audycja powstała dzięki pomocy mego kolegi Piotra Szatyńskiego z Krakowa, a prowadzili ją redaktorzy Marek Tomalik i Jacek Torbicz. Nagraną na płycie CD rozmowę (45 minut) dostałem od Piotra w prezencie. Pragnę niniejszym przybliżyć naszym Czytelnikom ciekawą postać Mike'a.

Urodził się w Krakowie i jako nastolatek, będąc harcerzem towarzyszył ojcu w górskich wyprawach. Na tatrzańskich stokach nauczył się jazdy na nartach. Po ukończeniu Gimnazjum podjął naukę w Szkole Podchorążych we Lwowie. Edukację prze-

rwiała mu II wojna światowa. Wraz z dwojgiem przyjaciół przemierzył Polskę, Węgry oraz Francję, by trafić ostatecznie do Wielkiej Brytanii. Tu mając 20 lat, zgłosił



Mieczysław z żoną Rose



Harczer Mieczysław Zaręba z kolegami



Polscy spadochroniarze: Mieczysław i Rose z kolegami

się jako ochotnik do brygady spadochronowej w Szkocji generała Stanisława Sosabowskiego. Był szkolony na samolotach bojowych Tiger Moth i Harvard. Poznał tu Szkotkę Rose Perry, działającą dla Women's Auxiliary Air Force – Żeńska Służba Pomocnicza w Lotnictwie Królewskim Wielkiej Brytanii. Dziewczyna stała się wielką miłością Mike'a. Pobrali się po wojnie, w r. 1946, mieli troje dzieci.

Pierwsze lata po wojnie poświęcił na zdobycie dyplomu z filologii angielskiej na Uniwersytecie w Cambridge. Rok 1948 był również dla małżonków momentem podjęcia decyzji o opuszczeniu Anglii i wyjeździe do Argentyny.

W styczniu 1949 r. wraz z mężem Polakiem i małym synkiem wyruszyliśmy z Southampton na małej argentyńskiej łodzi o nazwie Cordoba, by zacząć nowe życie i poznać nowy język – hiszpański – w Mendozie. Nie wiedzieliśmy nic na temat miasta, prócz tego, że jest położone na przedgórzu Andów, co jak magnes przyciągało mego męża alpinistę – tak zaczynają się spisane przez Rose wspomnienia o trwającej 23 lata przygodzie rodziny Zarębów z Argentyną.

Po paru latach Zarębowie przeprowadzili się z powodu pracy Mike'a i szkoły dzieci do Maipu – miasta słynącego z jednej z największych wytwórni wina na świecie. Nowy dom w porównaniu z poprzednim wydawał się luksusowy – miał prąd i gaz. Pan Mieczysław stał się tam znany nie tylko dzięki profesji nauczyciela języka angielskiego, ale również dzięki wyprawom w góry.

Po załatwieniu formalności udało się przybyszom wynająć dach nad głową w miejscowości Finca. Dom nazywany El Pino położony był w sercu winnic.

Rodzinnie nie żyło się lekko, szczególnie po narodzinach trzeciego dziecka, syna Michaela (córka Rita przysłała na świat dwa miesiące po przyjeździe). Na szczęście małżonkowie zaczęli poznawać miejscowych ludzi, życzliwych i chętnych do pomocy. Z czasem Polak stał się szanowanym i znanym w Argentynie profesorem. Gdy dzieci podrosły, cała rodzinka robiła wycieczki w góry i odnajdowała frajdę w narciarstwie.

Mike jako pierwszy zdobył kilka andyjskich pięciotysięczników. W 1966 r., z okazji Tysiąclecia Chrztu Polski (966), postanowił zdobyć dziewiczy szczyt w rejonie Manantiales w Tunuyan. Do tej wyprawy trwającej w dniach 14-19 stycznia zaprosił architekta Kazimierza Żurawieckiego i jednego z jego uczniów zwanego „prawie Polakiem” o nazwisku Roberto Zonca. Osiągnęli szczyt, 17 stycznia



Mieczysław i jego dzieci: John, Rita, Michael



Szczyt Polonia Millenaria

o godz. 14:00, oceniając jego wysokość na ok. 5300 m. n.p.m. i nadali mu nazwę Cerro Polonia Millenia. W 1968 r. Mike zdobył samotnie następny szczyt 5050 m. n.p.m. i dla zachowania w sercu i pamięci swojego ukochanego Krakowa, nadał mu nazwę Cerro Krakus.

Wyprawa w 1969 r. na Monte Casino (5250 m. n.p.m.) na pamiątkę słynnej bitwy z czasów II wojny światowej okupionej krwią Polaków. zakończyła się jednak tragedią, którą głęboko przeżył i sam Mieczysław Zaręba i inni członkowie wyprawy. Stracili oni jednego ze swych kolegów – dziewiętnastoletniego Marka Gaińskiego, który zginął pod lawiną kamieni. By uczcić tragiczną śmierć kolegi, Polacy postanowili zbudować schronisko i nazwać jego imieniem. W kolejnych latach Zaręba inicjował pozyskanie terenu i rozpoczęcie budowy schroniska górskiego Związku Polskiego w Mendozie, które sam określił „małą oazą Polski”. Miejsce jest piękne, a widok ze schroniska na pasmo Andów to jak z Gubałówki na łańcuch Tatr. Schronisko gościło wiele wysokogórskich ekspedycji z Polski. Tu też Mieczysław poznał Wandę Rutkiewicz, jedną z najsłynniejszych himalaistek, która jako trzecia kobieta na świecie zdobyła najwyższy szczyt ziemi – Mount Everest, zginęła w czasie wyprawy na Kanczendzonę w 1992 r.

Po wielu latach budowy ze środków społecznych, powstał obiekt z 28 miejscami noclegowymi. Związek Polski w Mendozie nadał schronisku imię Marka Gaińskiego.

Wydawałoby się, że Zarębowie wrośli w krajobraz Andów na tyle, by mieszkać tu na zawsze. Dla Rose domem pozostawała jednak ukochana Anglia, za którą bardzo tęskniła. Małżonkowie po



Na szczycie Polonia Millenaria Mieczysław Zaręba i Kazimierz Żórawiecki

W kolejnych latach Zaręba inicjował pozyskanie terenu i rozpoczęcie budowy schroniska górskiego Związku Polskiego w Mendozie, które sam określił „małą oazą Polski”. Miejsce jest piękne, a widok ze schroniska na pasmo Andów to jak z Gubałówki na łańcuch Tatr.

Schronisko gościło wiele wysokogórskich ekspedycji z Polski. Tu też Mieczysław poznał Wandę Rutkiewicz, jedną z najsłynniejszych himalaistek, która jako trzecia kobieta na świecie zdobyła najwyższy szczyt ziemi – Mount Everest, zginęła w czasie wyprawy na Kanczendzonę w 1992 r.

Po wielu latach budowy ze środków społecznych, powstał obiekt z 28 miejscami noclegowymi. Związek Polski w Mendozie nadał schronisku imię Marka Gaińskiego.

Wydawałoby się, że Zarębowie wrośli w krajobraz Andów na tyle, by mieszkać tu na zawsze. Dla Rose domem pozostawała jednak ukochana Anglia, za którą bardzo tęskniła. Małżonkowie po



Kamień pamiątkowy Wandy Rutkiewicz przy wejściu do Liceum Ogólnokształcącego im. Piastów Śląskich we Wrocławiu.

Fot. Andrzej Rumiński

23 latach spędzonych w Argentynie i bardzo trudnym rozstaniu z najmłodszym synem, który zdecydował się tam pozostać, wrócili w 1972 r. do Wielkiej Brytanii. Przez długi czas odwiedzali corocznie syna Michaela i jego rodzinę oraz mnóstwo przyjaciół czekających na nich z utęsknieniem. Gdy Rose zmarła, Mieczysław pozostał w Croydon wraz z cudownymi wspomnieniami i niezliczoną ilością zdjęć, z których każde dla tego niezwykłego człowieka jest jak... tysiąc słów. Pani Jolanta Grodzka swoje niezwykle spotkanie z Zarębą zakończyła nurtującym ją całym pytaniem: „Gdzie jest Pana Ojczyzna?”. Czy może zaskoczyć odpowiedź? „Z urodzenia jestem Polakiem, z zamiłowania Argentyńczykiem, a z zamieszkania Anglikiem”.

Kończąc, pragnę zapowiedzieć cykl trzech części tekstów autorstwa Mieczysława Zaręby w kolejnych numerach „Na szlaku”.

Powyższy tekst opracowałem na podstawie:

1. noty biograficznej Mieczysława Zaręby którą napisał jego syn, John Maciek Zaręba, a z języka angielskiego przetłumaczył Jan Malik,

2. wywiadu przeprowadzonego z Mieczysławem Zarębą przez panią Julitę Grodzką.

3. wywiadu przeprowadzonego z Mieczysławem Zarębą przez wspomnianych na początku panów: Marka Tomalika i Jacka Torbicza.

Andrzej Rumiński
Fotografie
z archiwum
Mieczysława Zaręby



Mieczysław Zaręba z Mamą w 1972 r.



Mieczysław Mike Zaręba. Fot. Julita Grodzka

Zostawił długi niebieski ślad

Andrzej Stróżecki

Kiedy 16 lat temu kręciłem się po holu schroniska na Turbaczu z niepokojem zastanawiałem się, czy i kto pojawi się na Śladowym Spotkaniu „Na Szlaku”. Nie mogłem przypuszczać, że poznam kogoś tak charyzmatycznego jak Andrzej Stróżecki. Był chyba drugą osobą, która zameldowała się wówczas w schronisku jako uczestnik Spotkania. Nie słyszałem o Nim wcześniej, nie miałem żadnych kontaktów ze środowiskiem turystów-narciarzy. Był wtedy członkiem KTN ZG PTTK, a kilka lat później został Przewodniczącym Komisji. Już pierwszego wieczoru, gdy spotkaliśmy się wszyscy w sali kominkowej schroniska zorientowałem się, że



Andrzej Stróżecki przed bacówką w Bartnem

to postać niezwykła. Stał się już podczas tego pierwszego narciarskiego spotkania naturalnym liderem tej imprezy i jak się okazało później liderem następnych i współorganizatorem.

Wydawało mi się wtedy, że znam nieźle Gorce, jednak wobec znajomości gór przez Andrzeja moja wiedza okazała się mizerna. Także podczas kolejnych Spotkań był niekwestionowanym znawcą, przewodnikiem, organizatorem tras i wycieczek. Kiedy wieczorami ustalaliśmy plany na następny dzień wszystkie oczy kierowały się na Andrzeja, to z Nim konsultowaliśmy własne pomysły i propozycje tras. Na wycieczki, którym przewodził, często wybierali się ci sprawniejsi i silniejsi narciarze. Trzeba było mieć sporo sił, by nadążyć za Andrzejem i jednego można było być pewnym, że zawsze wędrowało się dobrą drogą, choćbyśmy byli w zupełnie nieznanym terenie. Podczas mocno ożywionych czasem dyskusji na wieczornych posiadach imponował niezwykłym taktem i umiejętnością godzenia różnych opinii. Jego wiedza o szlakach i bazie turystycznej pomagała wybrać optymalne rozwiązania tras i miejsc kolejnych Spotkań.

Najlepiej czuł się na szlakach i bezdrożach Jury, to były Jego „tereny łowieckie”. Założył i prowadził zawierciański KT „Ostańce”. W końcu przez wiele lat prowadził słynny w środowisku Rajd Jurajski. Prowadził trasy na Rajdach Tatrzańskich i Sudeckich oraz na Wędrówkach Północy. Był prawdziwym guru narciarzy-turystów. XV Spotkanie Śladowe w Zygmuntońcu w roku 2015 było ostatnim, na którym Go widziałem. Do ostatniej chwili byłem pewien, że słabość, która Go dopadła późną jesienią jest chwilowa i że zobaczymy się na kolejnym Spotkaniu w Andrzejówce w marcu tego roku. W ostatniej telefonicznej rozmowie na kilka dni przed imprezą powiedział, że jednak nie przyjedzie. To nie był dobry sygnał, ale nadal wierzyłem, że wróci do zdrowia. Okazało się inaczej. Andrzej zmarł 12 maja. Zostawił wyraźny ślad w pamięci tych, którzy Go znali. To kolejna postać ze świata polskiej turystyki górskiej, której nikt nie zastąpi. Był jedyny i niepowtarzalny.

Juliusz Wyślouch

Kraczonik – zaginiony szczyt do Korony Gór Polski?

Wiele lat temu w korespondencji mejlowej z redakcją zacnego magazynu „Poznaj Swój Kraj” postulowałem uwzględnienie w Koronie Gór Polski szczytu Kraczonik. Sprawa przycichła. Temat nie dawał jednak spokoju. Pojawiły się nowe mapy i opracowania a wraz z nimi inspiracja do podjęcia tematu na nowo.

Przyjrzyjmy się dwóm mapom. Pierwsza to „Okolice Krynicy” wydana przez Oficynę Wydawniczą „Rewasz”. Już na pierwszy rzut oka widać, że rzeki Poprad i Muszyna odcinają niemal z chirurgiczną precyzją Beskid Sądecki od gór, które nazywane są na mapie Górami Czerchowskimi.

Z kolei na mapie wydanej przez znane słowackie Wojskowe Zakłady Kartograficzne (Vojenský Kartografický ústav) Harmanec góry te nazwane są Górami Leluchowskimi. Trudno wyrokować, która nazwa wydaje się właściwsza. Prawdopodobnie ta pierwsza, bowiem cały obszar na wschód od Popradu i na południe od Muszynki można uznać za przedłużenie słowackiego pasma Čergov, a zatem w granicach Polski znajduje się sam północny kraniec tych gór. Wobec tego należałoby uznać, że Kraczonik liczący 939 metrów jest najwyższym szczytem polskiej części Gór Czerchowskich. Najwyższym z kolei wierzchołkiem całego pasma Čergov jest Minčol liczący 1157 m.

W świetle powyższego jeśli Góry Czerchowskie nie są częścią Beskidu Sądeckiego tylko osobnym pasmem górskim to uzasadniony wydaje się postulat dopisania szczytu Kraczonika do listy wierzchołków zaliczanych do Korony Gór Polski. Tym samym lista ta, naturalnie nieoficjalnie, powiększyłaby się do 29 szczytów:

1. Tatry – Rysy 2499 m
2. Beskid Żywiecki – Babia Góra 1725 m
3. Karkonosze – Śnieżka 1602 m
4. Masyw Śnieżnika – Śnieżnik 1425 m
5. Bieszczady – Tarnica 1346 m
6. Gorce – Turbacz 1310 m
7. Beskid Sądecki – Radziejowa 1262 m
8. Beskid Śląski – Skrzyczne 1257 m
9. Beskid Wyspowy – Mogielica 1173 m
10. Góry Izerskie – Wysoka Kopa 1126 m
11. Góry Białskie – Rudawiec 1112 m
12. Góry Orlickie – Orlica 1084 m
13. Pieniny – Wysoka 1050 m
14. Góry Sowie – Wielka Sowa 1015 m
15. Beskid Niski – Lackowa 997 m
16. Góry Złote – Kowadło 989 m
17. Góry Bystrzyckie – Jagodna 977 m
18. Rudawy Janowickie – Skalnik 945 m
- 19. Góry Czerchowskie – Kraczonik 939 m**
20. Góry Kamienne – Waligóra 936 m
21. Beskid Mały – Czupel 934 m
22. Góry Stołowe – Szczeliniec Wielki 919 m
23. Beskid Makowski – Lubomir 912 m
24. Góry Opawski – Biskupia Kopa 889 m
25. Góry Wałbrzyskie – Chełmiec 869 m
26. Góry Bardzkie – Kłodzka Góra 765 m
27. Góry Kaczawskie – Skopiec 724 m
28. Masy Ślęży – Ślęża 718 m
29. Góry Świętokrzyskie – Łysica 612 m



Wolontariat i praktyki na terenie Republiki Ściborskiej

Zapraszamy do odbywania u nas praktyk studenckich i wolontariackich – bez wątpienia będzie to dla was bardzo duże doświadczenie i przygoda. Ale też zaznaczamy, że praca u nas jest konkretna i trudna, a żyjemy skromnie.

Republika Ściborska jest położona w samym centrum Obszaru Dzikich Mazur (najbardziej dzikim rejonie Mazur), na terenie gminy Banie Mazurskie. To autentyczne odludzie, kilometr od małutkiej wioski Ściborki, na skraju Lasów Skaliskich i Gór Klewińskich. Tu nie ma zasięgu telefonu, a wokół tylko las, pasące się krowy i dzikie zwierzęta. To rejon Polski o najczystszy powietrzu, „polski biegun zimna”, o naturalnym krajobrazie, niezmiętej starej zabudowie wsi. Tu wilki, dziki, jelenie dosłownie podchodzą do naszych ogrodzeń.

W osadzie znajdują się: muzeum kultury indiańskiej i eskimoskiej; galeria fotograficzna „U Jasia” (wystawa poświęcona historii powstania książki „Lato Leśnych Ludzi”); galeria „U Olesia”, muzeum rodzinne, wioska indiańska (okres letni); chata maszera; czarna bania; stary dom z zachowaną czarną izbą; ruiny starego gospodarstwa; tradycyjne studnie z wodą pitną; największa w regionie hodowla psów zaprzęgowych (50 psów); koniki polskie; zabytkowa pasieka pszczół; 200-letni, drewniany dom właścicieli; rodzinne schronisko dla zwierząt; własne kąpieliska, przejście graniczne.

UWAGA!!! Na całym terenie rep. Ściborskiej obowiązują zasady: zakaz palenia tytoniu, zakaz picia alkoholu i przebywania osób nietrzeźwych, zakaz używania negatywnego słownictwa. Spożywamy tu tylko potrawy bezmięsne.

Lokalizacja: bezpośrednie sąsiedztwo z Lasami Skaliskimi (las rozpoczyna się zaraz za zabudowaniami). Od strony południowej pagórkowate łąki z dużą ilością oczek wodnych, stawów. Tylko 1,5 km malowniczą trasą do Gór Klewińskich ze wspaniałymi punktami widokowymi. W okolicach znajdują się m.in.: Piramida w Rapie (Grobowiec Rodziny Farenheidów) – 3 km, Zabrost Wielki (wieś – „żywy skansen” z doskonale zachowaną starą architekturą), granica państwa i UE – 4 km, Puszcza Borecka – 15 km, Puszcza Romincka – 35 km, mosty w Stańczykach – 50 km, Muzeum i Skansen Kultury Ludowej w Węgorzewie – 30 km, Mamerki–bunkry – 40 km, Pozezdrze–bunkry – 20 km, śluzy k/Węgorzewa – 40km.

Dojazd: z Giżycka, Węgorzewa i Gołdapi do Bań Mazurskich – kierunek na Piramidę w Rapie (3 km) – (od tego momentu oznakowany dojazd) w prawo do wsi Ściborki (3 km) – w Ściborkach w lewo drogą polną (700 m).

Zasady pobytu wolontariuszy. Przyjmujemy osoby pełnoletnie, także w wyjątkowych sytuacjach nieco młodsze (minimalny wiek – 16 lat), bez jakichkolwiek nałogów i najlepiej wegetarian. Na terenie Republiki Ściborskiej obowiązują zasady, których wszyscy przestrzegamy. Do pomocy przy naszym gospodarstwie i działaniach szukamy osób pracowitych. Każdemu wolontariuszowi wyszukujemy taką pracę, która będzie dla niego najodpowiedniejsza i będzie przynosiła mu satysfakcję. Nie tylko wymagamy pracy ale także uczymy i doskonalimy, konkretna pomoc wolontariusza jest jednak najważniejsza.

Wolontariusz pracuje dziennie około 8 godzin, otrzymuje wyżywienie, które wspólnie przygotowujemy i zakwaterowanie.



Przyjmujemy praktykantów przez cały rok ale najchętniej w okresie letnim, kiedy jest najwięcej pracy. **MINIMALNY CZAS POBYTU TO 14 DNI.**

Turnusy wolontariackie w okresie letnim: 1-15 lipiec, 15-30 lipiec, 1-15 sierpień, 15-30 sierpień.

Warunki zakwaterowania. Dla wolontariuszy mamy przygotowany specjalny pokój letni. Ale można też zamieszkać w tipi lub innym miejscu. Posiłki wspólnie z gospodarzami. Łazienka wspólna z gospodarzami. Do dyspozycji jest kilka kąpielisk, czarna bania, zbiory muzealne (indiańskie, eskimoskie, inne), specjalistyczna literatura.

Wolontariusze przywożą ze sobą: śpiwór, latarkę, ubrania do pracy (długie spodnie i koszule, rękawice).

Prace, które czekają na Was w Republice Ściborskiej:

– praca przy zwierzętach (około 50 psów w tym szczenięta, 3 konie, koty) – sprzątanie wybiegów, czesanie, karmienie, naprawa urządzeń, dogłębienie,

– jazda konna – trening koni, przyuczanie (m.in. do pracy w wozie i jazdy), nauka jazdy dla innych (wolontariat dla osób posiadających doświadczenie w pracy z końmi);

– praca na ekologicznej działce (nasza ziemia od 30 lat nie była sztucznie nawożona) – pielenie, sadzenie, zbiór; zbieranie ziół dziko rosnących, owoców i grzybów; przetwarzanie płodów rolnych (wekowanie, suszenie, marynaty);

– przygotowywanie posiłków wegetariańskich;

– prace w pasiece pszczół (mamy zabytkową pasiekę założoną w 1935 roku, którą prowadzimy w pełni naturalnymi i zdrowymi metodami)– miodobranie, przeglądy, dokarmianie jesienią;

– prace muzealne (muzeum indiańskie, eskimoskie, Marii Rodziewiczówny, rodzinne) – utrzymywanie porządku, wykonywanie ekspozycji, naprawa eksponatów, wyszukiwanie i wykopywanie eksponatów w ziemi;

– obsługa ruchu turystycznego na terenie Republiki;

– pomoc przy tegorocznych projektach: budowa Muzeum Marii Rodziewiczówny, remont tradycyjnymi metodami pomieszczeń pod muzeum regionalne;

– udział w harcerskiej akcji ekologiczno-kulturowej – Akcji Dzikie Mazury (praca w tematach etnograficznych, przyrodniczych – inwentaryzacja cennych zasobów drzew, organizacja zlotu końcowego);

– pomoc przy organizacji obozów dla ojców z synami i rodzin;

– pomoc w opracowaniach komputerowych, prowadzeniu stron internetowych, opracowaniach graficznych (np. skład książki), tłumaczenia (j. niemiecki i angielski);

– jesienią – pomoc w treningach psów zaprzęgowych.

Jednym słowem dla każdego coś interesującego się znajdzie. A studenci kierunków weterynaryjnych, edukacyjnych, turystycznych itd. mogą u nas odbyć praktyki.

Zgłoszenie powinno zawierać: imię nazwisko, wiek, wykształcenie i zdolności (w kontekście w/w prac), opis doświadczenia, zdjęcie, proponowany czas przyjazdu.

Zapraszamy!

Justyna i Dariusz Morsztyn

www.biegnacy-wilk.pl

biegnacy-wilk@post.pl

tel. 604-292-997



Tego jeszcze nie było!

„Przewodnik dla dzieci w wieku od 6 do 10 lat po Gdynskim Szlaku Edukacyjnym”.

Zwróciłem uwagę, bo na słowo „przewodnik” jestem uczulony.

Publikacja została zrealizowana w styczniu 2016 roku ze środków Gminy i Miasta Gdyni. Projekt Gdynski Szlak Edukacyjny zawiera:

- przewodnik dla dzieci w wieku od 6 do 10 lat „Poznaj Gdynię z Rybką Gdynką”,
- informator dla nauczycieli i opiekunów,
- prezentację multimedialną,
- dodatkowo wszystkie materiały dostępne na stronie www.gdynia.pl.

Zeszyt dużego formatu 20,5 x 28,5 cm, 16 stron z twardego papieru, zawiera treść bardzo zróżnicowaną. Od planu centrum Gdyni na którym (na rozkładówce) pokazano trasę poruszania się osoby zwiedzającej i 12-punktowy opis do tego planu, aż po 15 zgadywanek, od zupełnie prostych, aż do trudnych, bo dotyczących historii Gdyni. Rozwiązanie całości wymaga też kolorowania kredkami i wyklejania wyklejankami zawartymi w zeszycie.

Istotą całej dziecięcej zabawy jest to, że całości zeszytu od punktu 1 do 10 nie da się rozwiązać bez osobistego przejścia wyznaczonej na planie trasy zwiedzania i szczegółowego poznania dwunastu elementarnych obiektów miasta Gdyni. Jest więc dużo chodzenia i poruszania się w terenie, ale też dużo literowych zgadywanek i naklejanek (rybek), jak się coś już odgadło.

Mający charakter albumu duży zeszyt zawiera także inspirację dla młodego uczestnika zabawy do wysyłania pocztówek z pozdrowieniami z Gdyni – jak to turysta! Jest to oryginalna kartka pocztowa, drukowana dwustronnie „Pozdrowienia z Gdyni”, wystarczy napisać adres i przykleić znaczek.

Są także dwie wyklejanki w formacie 100x150 mm, które jednak trzeba dopiero nakleić na kartoniki i wtedy mogą być przydatne do wysyłki w kopercie.

Słowem duża i wielokierunkowa zabawa.

Podsumowując – album ten (bo jest to album) ma podwójny sposób wykorzystania. Z jednej strony jest typowym przewodnikiem z planem trasy zwiedzania i opisem oglądanych obiektów, a z drugiej jest stabilną szaradą i wyklejanką, którą można się bawić w domu, przy stole. Czyli podwójna zabawa dla młodszych i starszych dzieci.

Taka publikacja na rynku księgarskim, ale i w kręgach krajoznawców jest absolutną nowością, a czy przyjmie się wśród małoletniej młodzieży – czas pokaże.

Poznaj Gdynię z Rybką Gdynką, wydawnictwo: Gdynia moje miasto, rok wyd. 2016. Praca zbiorowa: Zespół 3 nauczycielek ze Szkoły Podstawowej nr 40 w Gdyni

Janusz Zaremba



NA SZLAKU - magazyn turystyczno-krajoznawczy

Czasopismo Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego wydawane przez Oddział Wrocławski PTTK od 1987 r.
Magazyn odznaczony "Złotą Honorową Odznaką PTTK" w 2002 r. oraz Odznaką Honorową "Za Zasługi dla Turystyki" przyznaną przez Ministerstwo Sportu i Turystyki w 2012 r.



Adres Redakcji:
Rynek-Ratusz 11/12, 50-106 Wrocław

Redaktor Naczelny:
Sekretarz Redakcji: **Anna Zygm**
Redakcja techniczna: **Piotr Dacko**
Zespół Redakcyjny: **Andrzej Rumiński**
Webmaster: **Piotr Dacko**
Stale współpracują: **Juliusz Wystouch**



Materiałów nie zamówionych Redakcja nie zwraca i nie stosuje honorariów za opublikowane.

Redakcja zastrzega sobie prawo adyustacji tekstów, przyjmowanych wyłącznie w formie elektronicznej.

Przedruki tylko za podaniem źródła.

Umieszczanie banerów na stronie domowej magazynu i reklam wewnątrz numerów na odrębnie uzgadnianych zasadach.

Za treść reklam Redakcja nie odpowiada.

ISSN 1230-9931